

ANDRZEJ WOŹNIAK
Instytut Archeologii i Etnologii PAN, Warszawa

PRZEDMIEJSKIE GRY I ZABAWY.
O CZASIE WOLNYM I ŚWIĘTOWANIU NA GOCLAWIU
W DWUDZIESTOLECIU MIĘDZYWOJENNYM

I

Międzywojenny Grochów – największe z przyłączonych w 1916 r. do Warszawy przedmieście, stanowił XVII jej komisariat (okręg) i składał z kilku jednostek osadniczych o różnym charakterze. Różniły się one strukturą zawodową i charakterem związków z miastem, organizacją przestrzeni osadniczej i stopniem urbanizacji. Często towarzyszyło temu także zróżnicowanie etniczne i wyznaniowe. Lokalne społeczności międzywojennego Grochowa znajdowały się na różnych etapach przemian: od zbliżonych do modelu kultury tradycyjnej do najbliższych kulturze wielkomiejskiej. Do najbardziej wyróżniających się swoją specyfiką części Grochowa należał Goćław, stanowiący swego rodzaju przedmieście przedmieścia (Woźniak 2002, s. 155–156).

Najwcześniej, bo już około połowy wieku XIX, swoją „drogę do miasta” rozpoczęła ówczesna wieś Grochów, w dwudziestoleciu międzywojennym jeden z najdynamiczniej rozwijających się rejonów Warszawy. Nieocenione znaczenie, zarówno dla Grochowa, jak i dla całego komisariatu XVII, a także dla terenów sąsiednich, miała działalność założonej w latach 20-tych i do dziś istniejącej Spółki Wodnej Obwodu Wawerskiego. Przeprowadzone przez nią prace melioracyjne pozwoliły w latach 30-tych zwiększyć tempo oraz zakres inwestycji budowlanych i drogowych, którym towarzyszyły inwestycje komunikacyjne i sanitarne. Okres kryzysu nie zahamował rozwoju budownictwa, zwłaszcza indywidualnego, a nawet, ze względu na znaczne potaniecie materiałów budowlanych i robocizny, rozszerzył jego zakres (Wrzos 1985, s. 169–170). Odnotowano również ogromny wzrost ludności dzielnicy, a zwłaszcza samego Grochowa – dwukrotnie większy, niż np. na sąsiednim Targówku. Struktura zawodowa mieszkańców Grochowa była bardzo zróżnicowana. Przyłączającą większość stanowili robotnicy, znaczący odsetek rzemieślnicy i kupcy; byli tu również przedstawiciele wolnych zawodów, urzędnicy, przedsiębiorcy; stosunkowo nieznaczna część mieszkańców utrzymywała się z rolnictwa. Zróżnicowany był również Grochów pod względem etnicznym i wyznaniowym. Zdecydowaną większość stanowili wprawdzie Polacy wyznania rzymsko-katolickiego, ale mieszkała tu również ludność żydowska (według danych spisu z roku 1931 było jej w skali całej dzielnicy około 6 proc.), Niemcy, przeważnie ewangelicy różnych wyznań, oraz ludność prawosławna.

Położony wzdłuż głównej magistrali przedmieścia – ulicy Grochowskiej – Witolin, pod względem struktury zawodowej, etnicznej i wyznaniowej podobny był do Grochowa, ale ustępował mu znacznie obszarem i liczbą ludności. Inna była też jego historia. Powstał na gruntach podmiejskiego folwarku i znacznie później niż Grochów wszedł na drogę miejskiego rozwoju. „Obok Grochowskiej – pisał przed laty Jerzy Kasprzycki – głównymi ulicami Witolina były Sulejowska, Komorska, Kawcza i Osiecka. Pobudowali się tu w tandetnych dworach, willach, a nawet murowanych kamieniczkach, pierwsi obywatele, którzy przybyli z podwarszawskich stron, gdy rozpoczęła się parcelacja dóbr wiejskich, wcielonych do stolicy w 1916 roku. Przyłączyli się do nich rzemieślnicy, oficjaliści, kupcy z innych dzielnic, zachęceni niską ceną gruntów, dogodnymi warunkami kredytów. [...] Długo jeszcze poszczególne parcele rozpoznawano według lokalnych nazw, utworzonych od imion i nazwisk nowych właścicieli: „Tyburówek” od Władysława Tybury (Osiecka 15/17), „Janówka” od Jana Staniszewskiego (Kawcza 28/30), „Zalina” od Chrystiana Sahla (Majdańska 2), „Woczalówka” od Jana Woczala (Mniszewska 2) (Kasprzycki 1993, s.12).

Po odzyskaniu niepodległości, w latach 20-tych na Witolinie osiedlali się przybysze „ze wszystkich stron Polski”, z niezbyt odległego wschodniego Mazowsza, „znad Mieni”, ale również z Wielkopolski i z Galicji. Osiadali tu zachęceni możliwościami zarobków i kariery w stolicy. „Dla tamtych czasów początku II Rzeczypospolitej charakterystyczna była ich jakościowa przewaga nad mieszkańcami Warszawy pod względem wykształcenia, kwalifikacji zawodowych, znajomości języków obcych – swego rodzaju «europejskości»”. (Kasprzycki 1998, s. 256).

Zupełnie inny, czysto inteligencki, charakter miało niewielkie osiedle zlokalizowane nieopodal Witolina, po drugiej stronie ulicy Grochowskiej. Osiedle to, do dziś w całości zachowane, znajduje się w okolicy placu Szembeka. Składa się z nieco ponad trzydziestu domków w charakterystycznym dla lat 20-tych „dworowym” stylu. W czasach, kiedy powstawało nazywano je Kolonią Praussa. Jerzy Kasprzycki pisał o Kolonii Posłów i Senatorów PPS, dziś jednak nazw tych nie zna już nikt, poza starszymi mieszkańcami kolonii. „Wille te, wzniesione z własnych środków i kredytów bankowych – pisze J. Kasprzycki – zamieszkiwali znani działacze lewicy społecznej okresu międzywojennego, m.in. sekretarz generalny PPS – Frakcji Rewolucyjnej Kazimierz Pużak, pisarka Helena Boguszewska, autorka popularnej wówczas powieści–reportażu *Jadą wozy z cegłą*” (Kasprzycki 1998, s. 218). Kolonia powstała w połowie lat 20-tych między ulicami Chłopickiego, Boremlowską, Żółkiewskiego i Szaserów. W połowie lat 30-tych osiedle było już dobrze zagospodarowane, w ogrodach otoczonych siatką wyrosły drzewa. W nocy osiedla pilnował stróż. Wszyscy się tu znali przynajmniej z widzenia, większość utrzymywała ze sobą kontakty towarzyskie. Panowało poczucie bezpieczeństwa i swojskości. Natomiast otoczenie: robotnicze domy przy ul. Szaserów, bieda–domki rosnące wówczas jak grzyby po deszczu „na błoniach przy torach”, było dla wielu trochę niezrozumiałe i niepokojące. „Ci ludzie”, którzy w nich mieszkali lub mieli zamieszkać, mimo programowej często ich akceptacji, byli dla niektórych mieszkańców Kolonii Praussa nieco

zagadkowi; reprezentowali świat, w którym wszystko było inne: zajęcia, sposób myślenia i spędzania wolnego czasu, światopogląd i system wartości.

Kolejne nowe osiedle w okolicach Witolina wyrosło na terenach po rozebranym forcie XI, po odzyskaniu niepodległości przejętych przez Skarb Państwa, a potem przez gminę m.st. Warszawy. Grunta te, leżące na terenie dawnej wsi Górki Grochowskie, po parcelacji sprzedano na dogodnych warunkach urzędnikom państwowym, nauczycielom i wojskowym. „Parcelację Górek Grochowskich przeprowadzała m.in. Oficerska Spółdzielnia Mieszkaniowo-Budowlana. Jej członkowie, oficerowie przeniesieni służbowo do Warszawy z oddziałów stacjonujących w Wilnie, aby podkreślić swoje przywiązanie do rodzinnych stron, uzyskali zgodę na nadanie wileńskich nazw ulicom wytyczonym w ich osiedlu, stąd pojawienie się na Grochowie nazw ulic z odległej Wileńszczyzny: Filomatów, Budrysów, Gedymina i najważniejszej z nich Ostrobramskiej” (Kasprzycki 1998, s. 280).

Częścią dzielnicy o wyraźnym własnym obliczu i kilkunastuletniej historii była Saska Kępa. Najwcześniejsze etapy tej historii wiążą się z dziejami średniowiecznej osady targowej na Solcu, ale pierwsi stali osadnicy, wychodźcy religijni z Holandii, osiedli tu dopiero w pierwszej połowie XVII wieku (Faryna-Paszkiewicz 2001, s. 6). Na początku XX wieku Saska Kępa była, podobnie jak w stuleciu poprzednim, wsią stanowiącą „letni salon Warszawy”, ale po przyłączeniu w latach 60-tych XIX w. do gminy Wawer jej reputacja znacznie podupadła. Wcześniej znana jako ulubione miejsce niedzielnych wycieczek „dla klasy niższej, lecz porządniejszej, dla rzemieślników, ich żon, dzieci i czeladzi, dla kupcyków, panien służących, lokai, podrzędnych urzędników”, jako niewielka wieś podwarszawska gminy, pozbawiona należytego nadzoru policyjnego, Saska Kępa na przełomie XIX i XX wieku stała się miejscem popularnych zabaw „coraz to bardziej uczęszczanym przez proletariat i męty miejskie”, pisał J.S. Bystron (1977, s. 250, 284–285). Charakter taki zachowała przynajmniej do połowy lat 20-tych ubiegłego wieku.

W pierwszych latach niepodległości nadal bardziej przypominała wieś niż miasto – większość domów stanowiły budynki drewniane, wśród nich niektóre kryte słomą. Urbanizacja Saskiej Kępy postępowała powoli. Sytuacja uległa zmianie w drugiej połowie lat 20-tych. W 1927 r. oddano do użytku most Poniatowskiego. Stopniowo zaczęto też odwadniać podmokłe tereny Saskiej Kępy, które dopiero po przeprowadzeniu tych prac nadawały się do zabudowy. Melioracje wykonywała utworzona w 1924 r. Spółka Wodna Obwodu Wawerskiego. Odwodnienie terenów Saskiej Kępy pozwoliło na szybką jej zabudowę. W latach 30-tych Saska Kępa była przede wszystkim dzielnicą mieszkaniową, gdzie realizowano prywatne budownictwo, w znacznej części typu willowego. Domy budowali tu zamożni przedsiębiorcy warszawscy, wyżsi urzędnicy, przedstawiciele tzw. wolnych zawodów. Początkowo zabudowywano głównie tereny w okolicach Ronda Waszyngtona, później zabudowa posunęła się w kierunku południowym wzdłuż ul. Francuskiej. Na całym obszarze Saskiej Kępy (wraz z tzw. rejonem wystawowym) w dniu 1 I 1930 r. znajdowało się 85 nieruchomości zamieszkiwanych przez 2246 osób. Wśród dawnych mieszkańców Saskiej Kępy

do najbardziej znanych należały nazwiska Genzlów, Kappów, Ranców, Szenków, Wernerów, Wolframów. Jedni potomkowie tych dawnych niemieckich kolonistów byli już mocno spolonizowani, inni podkreślali swe związki z Niemcami. Większość pozostała przy luteranizmie, inni przeszli na katolicyzm, niektórzy na prawosławie. Wyznawców prawosławia było zresztą na Saskiej Kępie więcej. Osiadła tu po rewolucji spora grupa tzw. „białych” emigrantów rosyjskich, z których inicjatywy w jednym z budynków przy ul. Paryskiej powstała prawosławna kaplica i cerkiewna drukarnia; dziś jest tam prawosławne seminarium. W dwudziestolecie międzywojennym Saska Kępa dość luźno i tylko formalnie związana była z Grochovem, oddalonym od niej i oddzielnym dużą niezabudowaną przestrzenią. Miała nawet osobny posterunek policji państwowej przy ul. Krynicznej, należała do innego okręgu pocztowego na Kamionku i do kamionkowskiej, a nie grochowskiej parafii. Dzieci na Kamionek chodziły do szkoły. Nieco silniejsze związki łączyły niektórych mieszkańców Saskiej Kępy – Ranców, Wolframów i innych – z Gocławiem, gdzie mieszkali ich liczni krewni. Widowym świadectwem tego braku związków z Grochovem i pewnego lokalnego „separatyzmu” było utworzone w 1928 r. Towarzystwo Przyjaciół Saskiej Kępy, Gocławia i Kamionka, nie mniej aktywne niż Towarzystwo Przyjaciół Grochowa.

Gocław wraz z Grochovem należały do najstarszych miejscowości Równiny Praskiej, a pierwsza wiadomość o nim pochodzi z XII wieku. Od końca wieku XVIII mieszkali na Gocławiu i w najbliższym jego sąsiedztwie niemieccy koloniści, którzy na początku ubiegłego stulecia byli właścicielami ponad połowy gospodarstw i znacznej większości użytków rolnych. Jak mówi lokalna tradycja, wszyscy mieszkańcy Gocławia utrzymywali się jeszcze wówczas z rolnictwa, ale gospodarstwa polskich mieszkańców wsi były już bardzo niewielkie i nadal ulegały rozdrobnieniu. Bieda zaglądała pod dachy nawet tych, którzy według tutejszych kryteriów za biednych nie uchodzili, zmuszając również ich do szukania dorywczych zarobków w sąsiednim, bardziej zaawansowanym gospodarczo Grochowie czy na przyłączonym niedawno do Warszawy i dynamicznie rozwijającym się przemysłowym Kamionku. Istniały tam możliwości zarobkowania w transporcie lub przy niewymagających kwalifikacji robotach budowlanych, i – co nie mniej ważne – te coraz częstsze z upływem lat kontakty z miastem oswajały mieszkańców Gocławia z jego kulturą i odmienną niż w tradycyjnym rolnictwie organizacją pracy. Jedynie dla niemieckich kolonistów głównym źródłem utrzymania pozostały gospodarstwa rolne.

Niemiecka społeczność Gocławia różniła się od polskiego otoczenia również religią. Przytłaczająca większość była wyznania ewangelicko-augsburskiego (luteranckiego), nieliczni należeli do kościoła ewangelicko-reformowanego (kalwińskiego) czy też – podobnie jak polscy sąsiedzi – wyznawali katolicyzm¹. Między obu grupami istniały w związku z tym także różnice w dziedzinie zwyczajów – zarówno dorocznych, jak i rodzinnych.

¹ Nie było na starym Gocławiu Żydów. Natomiast w latach 20-tych osiadła tu jedna rodzina rosyjska (prawosławna) i jedna ukraińska (prawosławna lub greckokatolicka).

W latach 30-tych ubiegłego wieku jedynie gospodarze niemieccy byli w stanie utrzymywać się wyłącznie z gospodarstwa, choć i niektórzy z nich wykonywali zawody pozarolnicze. Polscy mieszkańcy Gocławia wszyscy utrzymywali się głównie z pracy poza rolnictwem, a w każdym razie poza własnym gospodarstwem, ale w latach kryzysu i powszechnego bezrobocia stałą pracę mieli tylko nieliczni.

Gocław tamtych lat wyglądem niewiele różnił się od sąsiednich, leżących już za granicą miasta wsi, takich jak Bluszcze, Las czy Zerzeń. W roku 1919 był jedynym rejonem komisariatu XVII, w którym nie występował podział na ulice, choćby takie „Bez Nazwy” jak na Saskiej Kępie. W końcu lat 30-tych większość zabudowy Gocławia była drewniana, a domy murowane nieliczne. Brak było wodociągów i kanalizacji, elektryczność miało zaledwie parę domów.

Międzywojenny Gocław, o którym nawet jego mieszkańcy mawiali niekiedy, że był „zabitą wsią”, miał liczne i dość rozległe kontakty zarówno z najbliższym otoczeniem, jak i z dalszymi okolicami. Codzienne kontakty z różnymi dzielnicami Warszawy mieli gocławianie pracujący poza gospodarstwem zarówno stale, jak i dorywczo. Warszawa dostarczała im środków utrzymania i byli już z nią nierozzerwalnie związani.

Gdy w roku 1916 Gocław wraz z Grochowem i innymi sąsiednimi miejscowościami został przyłączony do Warszawy i stał się jej przedmieściem, praca poza rolnictwem była już dla znacznej części jego polskich mieszkańców głównym źródłem utrzymania. W okresie międzywojennym nie stanowiły go już bardzo rozdrobnione gospodarstwa rolne, bo w niektórych wypadkach „jak dwa zagony miał”, to trudno nawet było to „nazwać gospodarstwem”, komentuje mój rozmówca J.L. Słabo rozwinięta była również hodowla. Trzymano w nich 1–2 krowy, rzadko konia², 1–3 świnie, nieco drobiu, rozpowszechniona była hodowla królików. Znacznie więcej inwentarza hodowano w dużych gospodarstwach niemieckich kolonistów, które stanowiły podstawę ich utrzymania. Właściciele dwu największych – Cezary i Eugeniusz Wolframowie – zatrudniali nawet na stałe po parę rodzin robotników najemnych, mieszkających w wybudowanych

² Na Gocławiu, jeśli ktoś miał konia „zaliczał się do bogatszych”, pozwalało mu to bowiem zarobkować przy robotach komunalnych, prowadzonych przez Magistrat zarówno latem (przy konserwacji ulic), jak i zimą (przy wywożeniu śniegu). Koń bywał zatem w pewnym sensie żywicielem rodziny, dbano więc o niego, karmiono nie tylko owsem, ale także jęczmieniem i żytem, pasiono na najlepszej trawie; wyw. 1/99; 4/99, 12/99, inf. J.L.

Podstawowy zasób wiadomości wykorzystanych w opracowaniu pochodzi ze źródeł wywołanych – wywiadów, przeprowadzonych w latach 1997–2004 z mieszkańcami Gocławia, Grochowa, Witolina i Kolonii Praussa. Wywiady na Grochowie i Witolinie oraz na Kolonii Praussa prowadzili w ramach praktyk wakacyjnych w latach 1997–2000 studenci ówczesnej Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. Wywiady na Gocławiu w latach 1997–2004 przeprowadzał (z niewielkimi wyjątkami) autor opracowania (wszystkim rozmówcom składam serdeczne podziękowania). Mniejszą rolę odegrały nieliczne, publikowane materiały pamiętnikarskie dotyczące dzielnicy, literatura piękna, lokalna prasa i „grochowskie” felietony Jerzego Kasprzyckiego. Materiały dotyczące Gocławia, a zwłaszcza sposobów spędzania czasu wolnego i świętowania, odnoszą się przede wszystkim do jego polskich mieszkańców i zawierają jedynie nieliczne oraz dość skąpe w treści wzmianki na temat ich niemieckich sąsiadów. Wśród informatorów nie było już osób wyznania ewangelickiego, pamiętających czasy przedwojenne.

dla nich czworakach, a w okresie robót polowych również robotników sezonowych (Woźniak 2002, s. 174). Poza folwarkami braci Wolframów, będących największymi na Goćławiu pracodawcami, możliwości zatrudnienia nie było tu prawie żadnych. Istniały dwa (pod koniec lat 30-tych trzy) niewielkie sklepy obsługiwane przez właścicieli i dwa warsztaty stolarskie zatrudniające, oprócz majstrów, paru uczniów lub czeladników³. W latach 20-tych, kiedy Spółka Wodna Obwodu Wawerskiego wznosiła Wał Goćławski, przy jego budowie pracowało wielu mieszkańców Goćławia i Kamionka⁴.

Prawie przez cały okres międzywojenny Goćław należał do parafii na Kamionku; tu odbywały się chrzty nowych goćławian, później ich Pierwsze Komunie, śluby i pogrzeby. Z Kamionkiem związane było całe oficjalne życie religijne goćławian, ale „na co dzień” czuli się bardziej związani z kościołem na placu Szembeka. Tam chodzono często na niedzielne msze święte, nabożeństwa majowe lub czerwcowe, często na procesje Bożego Ciała. Do taniego kina w tamtejszym domu parafialnym biegały dzieci i młodzież z Goćławia. Na Grochów szło się do szkoły, tam robiono część zakupów, szukano warsztatów rzemieślniczych, porady lekarskiej, korzystano z usług pocztowych. Przy ul. Grochowskiej znajdował się komisariat policji państwowej – „grochowska siedemnastka”. Grochowską biegła linia tramwajowa i trasa kolejki wąskotorowej. Grochów dostarczał mieszkańcom całej dzielnicy różnego rodzaju rozrywek, z których ze względu na trudną sytuację finansową goćławianie korzystali w ograniczonym zakresie. W centrum Grochowa miały też swoje siedziby liczne tutejsze organizacje społeczne, oświatowe i gospodarcze.

Najżywsze były kontakty Goćławia z pobliskimi wsiami – Zerzeniem, Lasem, Zbytkami, Zastowem, Kawęczynem. Zazwyczaj miały one charakter rodzinny i towarzyski. We wsiach tych, a zwłaszcza w Zerzeniu i w Lesie, najczęściej szukano kandydatki na żonę. Niekiedy jednak, gdy uciekano się do pomocy swatów, znajdowano ją i znacznie dalej, np. w okolicach Nieporętu.

W stanie swoistej homeostazy i pewnego zapóźnienia cywilizacyjnego znajdowała się w okresie międzywojennym również inna część dzielnicy – Kozia Górka, która, jak wynika z opracowania M. Harusewicza, pod niektórymi względami przypominała leżący na drugim krańcu Grochowa Goćław (Harusewicz 1933).

II

Dzień powszedni na Goćławiu rozpoczynał się latem „i o 3, jak robota była w polu”, ale tak było tylko u tych, którzy mieli choć kawałek ziemi. Inni nie wstawali tak wcześnie. Zimą dzień zaczynał się około godziny 6. Dzieci wstawały później. Pierwsza budziła się gospodyni, by wyprawić do pracy męża. Coś zazwyczaj gotowała; zacierki na mleku, kaszę. Do tego jedzono chleb ze smalcem, masłem, czasem z wędliną, „jak kogo było stać”. Wychodzący do pracy mężczyzna brał

³ Wyw. 1/2000, inf. H.S.

⁴ Wyw. 4/99, inf. J.L. Przy budowie wału pracował jako brygadzysta, czyli tzw. stojak, ojciec J.L.. Spółka zatrudniała też „służowego” z Goćławia, który pilnował przepustu kanału w wale.

ze sobą coś do jedzenia – chleb, kawałek wędliny, niekiedy domowego wyrobu. Czasem, gdy w domu niczego nie było, żona dawała mu pieniądze. „Co kupić – czy «setkę», czy coś do jedzenia, to już jego rzecz, ale przeważnie kupowali coś [do jedzenia – A.W.], czasem ciułał, żeby dzieciom dać”, mówi J. L. Śniadania w dzień powszedni nie jadano razem. Osobno, trochę później, jadły je dzieci. Dawano im również śniadanie do szkoły lub parę groszy. Kolejność czynności dzieci po obudzeniu była następująca: „mycie – ręce i twarz, paciorek, śniadanie, a wieczorem odwrotnie”.

Ci mężczyźni, którzy mieli stałą pracę, a było ich w latach 30-tych na Gocławiu zaledwie kilku, wracali do domu około godziny 4–5, a nawet 6 po południu. W fabrykach była półgodzinna przerwa na posiłek. W małych, prywatnych zakładach jedzono niekiedy wręcz „w biegu”. Kiedy mąż wracał z pracy, oczekiwał go przygotowany przez żonę obiad. Jeśli pracowała w polu, to na ogół wracała około południa, gotowała obiad, karmiła dzieci po ich powrocie ze szkoły i zostawiała posiłek dla męża w kuchni, w tak zwanej „duchówce”. Po umyciu się i zjedzeniu obiadu mężczyzna „popalił, posiedział chwilę i brał się za robotę przy domu, w polu. Ci, co nic nie mieli, szli na wał posiedzieć, pogadać, w karty pograć. Za wałem były trzy piękne jeziora – piękny widok”⁵. Kolację jedzono przeważnie razem, cała rodzina, „pod koniec dnia”, przed zmrokiem. „Za widoku nie szło się spać nigdy”.

A oto opis przedwieczornego Gocławia, widzianego z Gocławskiego Wału latem 1934 r. oczyma mieszkańców kolonii Praussa: „Po prawej stronie zbiegły się sobie domki i zagęściły w zbitą masę. Tutejsze domki są stare jak świat, dziwaczne, omszałe, w czapach ze strzechy, zaszyte w bzowe krzaki i w drzewa – akacje, białodrzew, topole, nawet brzozy – antyteza tamtych nowoczesnych, «inteligentkich» domków, które mijaliśmy na początku, przy Młądzkiej. Na skraju tego wszystkiego rozkłada się dwór – stary, niziutki, szeroki, z gankiem na słupach, z dwoma skrzydłami, z dziedzińcem porośłym trawą i chwastem, gdzie wśród zdziczałych klombów pasą się konie. Tuż opodal w stodole huczy i buczy młocarnia. Gdy podejść bliżej – przez rozwarłe wrota czuć zapach ziarna i słomy, widać wiejący kurz. Wszystko to leży w dole, a nazywa się – Gocławski Dwór. Dalej już domów nie ma – chyba na najdalszym, zamglonym już horyzoncie – Warszawa, jak łańcuch wzgórz. A wszędzie bliżej, po prawej stronie i po lewej – zielono. Tu i owdzie wśród łąk i pastwisk cisną się wąskie poletka już dojrzałego owsa. W dołkach seledynowa kapusta. Krowy się pasą, dzieci kąpią się w stawie przy mostku, dalej widać kosiarzy idących gęśiego ścieżką, a na zboczu wału pod olbrzymimi topolami siedzą kobiety tego przedmieścia, zażywnie, kolorowe – z cienia spoglądają ku dzieciom, pogadują niegłośno, w obu rękach pokazują sobie pofastrygowane «plecy», rękawy, spódnice sukienek – szyją i reperują, niektóre robią na drutach. Wszystko dokoła jest zielone od łąk i błękitne od nieba. Szczęśliwe oczy piją” (Boguszewska, Kornacki 1959, s. 46–47).

Tak wyglądało gocławskie późne popołudnie w sierpniu. Wiosną – w maju lub w czerwcu – obok widocznej z wału kapliczki przy zbiegu ulic Mimośrodowej

⁵ Wyw. 1/99, inf. J.L.

i Żymirskiego spacerowicze mogli zobaczyć rzeszę mieszkańców Gocławia i usłyszeć nabożne śpiewy. Na majowe i czerwcowe nabożeństwa zbierali się tu licznie ludzie w różnym wieku – starsi, dzieci, młodzież. Młodzi przynosili zieleń oraz kwiaty polne i z przydomowych ogródków do przyozdobienia kapliczki. Na majowe nabożeństwa chodzono również do drewnianego kościółka przy placu Szembeka, ale tradycja wspólnych majowych modlitw przy kapliczce żywa była jeszcze w okresie powojennym⁶.

Późną jesienią i zimą posiały na wale, najpopularniejszy sposób spędzania wolnego czasu, zarówno w dni powszednie, jak i w niedzielę, zastępowały spotkania po domach. Zbierano się „tam, gdzie mieszkanie było duże i gdzie ciepło było”. Starsze kobiety, najczęściej wykonując jednocześnie jakieś robótki, opowiadały „historie z życia”, o wydarzeniach z przeszłości, o duchach i cudach, niezwykłych wydarzeniach⁷. Zimą i jesienią wieczorami nieco więcej niż w letnich miesiącach czytano, ale czytelnictwo na Gocławiu nie było wówczas rozwinięte⁸. „Latem to nikt nie czytał prawie [...]; dziewczyny, panny jak tam były, to tam się czytały po krzakach, ale mężczyźni i chłopaki nie czytali”. Książki pożyczano sobie nawzajem, bardzo rzadko z jakiejś biblioteki, chociaż w okresie międzywojennym istniały na Grochowie wypożyczalnie książek zarówno społeczne, szkolne, jak i prywatne. Pierwszą w dzielnicy bibliotekę noszącą imię Adama Asnyka zorganizowało przy szerokim wsparciu mieszkańców dzielnicy Towarzystwo Przyjaciół Grochowa. Liczyła ona parę tysięcy tomów literatury pięknej i popularnonaukowej. W 1924 r., gdy Warszawskie Towarzystwo Dobroczyńności przekazywało stworzone przez siebie czytelnie Towarzystwu Bibliotek Publicznych, również TPG przekazało mu czytelnię im. Asnyka, która w końcu lat trzydziestych liczyła około 5 tys. tomów (Poliński 1938, s. 171–173). Przy ul. Grochowskiej 97 B działała w dwudziestolecu prywatna wypożyczalnia książek „Pionier”. Dużym powodzeniem cieszyła się pierwsza na Witolinie księgarnia Bandycha, który skupował od drukarzy końcówki nakładów popularnych „żółtych zeszytów” literatury sensacyjnej. Bandych sprzedawał je swoim, najczęściej młodym, klientom po bardzo niskich cenach – niekiedy po 5 groszy (Kasprzycki 2000, s. 12). Dzięki temu zapewne niejeden z tych zeszytów trafił również na Gocław. Częściej niż książki czytano tu gazety, które kupowano lub pożyczano od sąsiadów⁹.

Radio pojawiło się na Gocławiu pod koniec okresu międzywojennego, ale odbiorniki były jeszcze rzadkością. Znacznie bardziej popularne były gramofony, a pod koniec lat 30-tych pojawiły się walizkowe patefony na korbkę. Muzyki z płyt chętnie słuchano i tańczono przy niej, niekiedy nawet na podwórku czy na wale.

Do kina chodziła przeważnie młodzież i dzieci, starsi bardzo rzadko, bo szkoda było pieniędzy na bilet. Panowało wówczas bezrobocie i powszechna bieda. Do-

⁶ Wyw. 3/99, inf. J.L.

⁷ Wyw. 12/00, inf. J.L.

⁸ Do ulubionych lektur należały m.in. *Trędowata*, *Znachor*, *Żywoty św. Genowefy*. Wyw. 3/99, inf. J.L.

⁹ Wyw. 1/01, inf. J.L.

piero „przed samiusieńką wojną, chyba w 38” sytuacja się poprawiła – „ludzie się trochę puścili, już zaczęli chodzić do cyrku, jak się pokazał cyrk, a był też ten cyrk Staniewskich na Okrag, a to już do cyrku ktoś poleciał, to już na jakiś film polecieli. Przeważnie to w niedzielę, w sobotę czasem. Czasem jak ktoś poleciał w tygodniu, to w czwartek, bo mówili – to obywatelski dzień. To i odwiedziny były w czwartek i randki były w czwartek, to już taki obywatelski dzień był w czwartek”¹⁰. Najbliższe kino „Sorrento” mieściło się przy ul. Krypskiej róg Igańskiej, ale wśród dzieci i młodzieży największym powodzeniem cieszyło się kino „Olszynka” w domu parafialnym przy ul. Chłopickiego, zorganizowane przez energicznego grochowskiego proboszcza ks. Jana Sztukę. Były tam tanie bilety i atrakcyjne dla młodzieży programy¹¹. Mieszkańcy Gocławia i Grochowa wspominają również kino na pobliskim Kamionku (przy ul. Zamoyskiego, tam, gdzie dziś teatr „Powszechny”), rzadziej kina na Pradze. Na Kamionku, przy ul. Zamoyskiego 20, znajdowało się jedno z nowszych kin prawobrzeżnej Warszawy, noszące początkowo nazwę „Hel”, później „Popularny”. Sala przy Zamoyskiego gościła też zespoły teatralne, przeważnie teatrzyków rewiiowych, rzadziej teatrów dramatycznych.

Sporo kin było na Pradze. Najbardziej popularne znajdowało się w Domu Żołnierza przy ul. Zygmuntowskiej. Miało tanie bilety i dawało filmy z reguły dostępne dla młodzieży. Znanymi kinami były „Era” przy ul. Inżynierskiej, „Lotos” (później „Praskie Oko”) przy ul. Zygmuntowskiej, „Praga” przy Targowej. Istniały również małe, tanie kina, wyświetlające przeważnie filmy sensacyjne w salkach na 50–80 osób, takie jak kino „Wrzos” przy ul. Żąbkowskiej czy podobne przy Targowej. Tanie kina działały również przy parafii św. Floriana, przy ul. Floriańskiej oraz na dość odległym Bródnie (Elsztein 2002, s. 206–212).

Bardzo rzadko bywali gocławianie w teatrze, ponieważ „szkoda było pieniędzy” i „nie każdy miał się w co ubrać”. Starsi z oszczędności nawet do kina chodzili bardzo rzadko; na Gocławiu była to, jak wiemy, rozrywka przede wszystkim dzieci i młodzieży¹². Podobnie rzadko chodzono do teatru w środowisku robotniczym Grochowa¹³, ale w rodzinach inteligenckich teatr stanowił tam dosyć częstą rozrywkę świąteczną¹⁴. Zainteresowanie teatrem miało zresztą wśród

¹⁰ Wyw. 1/01, inf. J.L.

¹¹ Wyw. 29/98], inf. J.L.

¹² Wyw. 1/01, inf. J.L.

¹³ Wyw. 24/98. M. Z. (ur. 1917) robotnik z Grochowa mówi: „ja to w życiu (w teatrze) kilka razy byłem. Do teatru raczej nie chodziłem. A to jeszcze nawet bilety leżą, z pracy dostałem z garbarni”. (Z wywiadu wynika, że było to już w okresie powojennym). Informatorka K.T. (ur. 1927) z dosyć dobrze sytuowanej rodziny robotniczej wspomina: [do teatrów] „rzadko się chodziło. To chodzili tacy, co naprawdę mieli na to. Moich rodziców stać było, my chodziliśmy do teatrów, ale takich, gdzie dla dzieci było” (był to jakiś teatr na Pradze); wyw. 22/98.

¹⁴ Np. inf. B. (ur. 1925), z rodziny inteligenckiej (wykształcenie wyższe), opowiada: „Do teatru, jak pamiętam z dzieciństwa, to w każde Boże Narodzenie i w każdy drugi dzień Wielkanocy chodziliśmy, taka była tradycja rodzinna. Cała rodzina i ktokolwiek do nas przyjechał, to go zabieraliśmy ze sobą. Były tzw. popołudniówki w Teatrze Letnim w Ogrodzie Saskim [...] To były sztuki odpowiednie dla dzieci i dla dorosłych [...] Zabierali mnie rodzice (i) na opery, zwłaszcza polskie; wyw. 17/98.

grochowskiej inteligencji ugruntowaną tradycję. Teatr amatorski był jedną z najwcześniejszych inicjatyw powstałego w 1916 r. Towarzystwa Przyjaciół Grochowa. Zorganizowany został jeszcze z latów pierwszej okupacji niemieckiej przy dużym zaangażowaniu członków Towarzystwa i zainteresowaniu mieszkańców dzielnicy. Przedstawienia odbywały się w sali w pałacyku Myślińskiej przy ul. Grochowskiej, a później w szkole przy ul. Świdrzańskiej. Dawano je dość regularnie i cieszyły się dużą popularnością (Poliński 1938, s. 161–162).

Teatry profesjonalne miała od przełomu XIX i XX w. Praga. U schyłku XIX w. były to teatrzyki ogródkowe. W 1903 r. na skraju Parku Praskiego, przy ówczesnej ulicy Aleksandryjskiej, wzniesiony został pierwszy w tej części Warszawy całosezonowy budynek teatralny, w założeniu przeznaczony dla publiczności robotniczej i „stąd nazwany Teatrem Ludowym” (Elsztain 2002, s. 215). Od początku teatr borykał się z trudnościami i budynek zmieniał użytkowników. W 1916 r. przeniósł się tam po długich staraniach zespół Teatru Ludowego i od tego roku prowadził działalność jako Teatr Praski. W 1919 r. teatr został przejęty przez magistrat Warszawy. Po okresie trudności w sezonie 1925/1926, pod nowym kierownictwem zaczął działać jako Teatr Odrodzony i dzięki ofiarności zespołu stał się „najpoważniejszą sceną dzielnicową” z ambitnym repertuarem (Kraśński 1976, s. 11). Po zamknięciu Teatru Praskiego jesienią 1928 r. na Pradze tylko sporadycznie i na krótko goszczą zespoły teatrów dramatycznych (np. teatr „Wrzos” przy ul. Żąbkowskiej 37, „Teatr Popularny”, „Żagiew” przy ul. Zamoyskiego 20). Nie brak natomiast, zwłaszcza w pierwszej połowie lat 30-tych, teatrzyków rewiowych, takich jak np. „Lotos”, „Rakieta”, „Praskie Oko” przy ul. Zygmuntowskiej 10 czy „Hel”, „Wesoła Papuga” przy ul. Zamoyskiego 20 (Kraśński 1976, s. 273–292).

Sport w okresie międzywojennym nie był na Gocławiu rozpowszechniony. Odbywające się na Grochowie i Kamionku zawody sportowe, nawet mecze piłki nożnej, nie cieszyły się popularnością i nie chodzono ich oglądać. Miejscowi chłopcy, jeśli mieli piłkę, „to pograli sobie”, ale żadnej zorganizowanej drużyny nie było.

Popularne w dwudziestoleciu w środowisku robotniczym wyścigi konne nie cieszyły się na Gocławiu zainteresowaniem. Pasjonował się nimi tylko niejaki Dobrzyński, dobrze zarabiający robotnik na „państwowej” posiadce, niegdyś ogólnie szanowany, którego hazard doprowadził do nędzy¹⁵.

Nie słyszano, aby ktoś z młodszych gocławian dokszałcał się, chodził do wieczorowej szkoły czy na jakieś kursy. Już ukończenie pełnej szkoły powszechnej uznawane było za pewne osiągnięcie¹⁶.

„Przed samą wojną dwóch braci Dębińskich i ich szwagier Chojnacki założyli taki zespół muzyczny [było ich] czterech czy pięciu. Mieli harmonię piękną, taką włoską, skrzypce, bandżolę i jeszcze jakieś instrumenty. Grali to, co było modne.

¹⁵ Wyw. 1/01, inf. J.L. mówi: „Jak go szanowali wszyscy, kłaniali mu się, a później poszedł na psy, całkiem poszedł. Jak wybuchła wojna w 39 roku to [był] bosy, nagi i głodny z żoną i dziećmi. To on jeden na Gocławiu tylko był taki”.

¹⁶ Wyw. 29/98, inf. J.L.

Po zabawach nie chodzili, tutaj grali, jak się z kościoła wychodzi takie topole stały. Czasem poszli tam, jak ludzie znad Wisły wracali, to potańczyli po trawie. A to u siebie tam w domu grali, to ludzie stawali i słuchali”¹⁷.

Przygotowania do świętowania niedzieli rozpoczynały się już w sobotę. Ci, co pracowali, tego dnia przeważnie wcześniej wracali do domu. Sprzątano mieszkania, myto się dokładnie w gorącej wodzie, zmieniano bieliznę, niektórzy mężczyźni golili się, inni robili to w niedzielę rano. Były domy, w których przestrzegano, aby nawet buty były czyszczone w sobotę. Po domach powszechnie panował przedświąteczny nastrój¹⁸. W sobotę po południu na Gocławiu dawał się słyszeć głos handlarza, głośno nawołującego gospodynie do kupowania jego towaru: wołowych i cielęcych nóg. Robiono z nich galaretę, która należała tu do ulubionych niedzielnych potraw.

W niedzielę właściciele gospodarstw wstawali między godziną 6 a 8, a pozostali trochę później. Po porannych obrządkach gospodarskich szykowano się do wyjścia do kościoła. Niektórzy mężczyźni wczesnym rankiem szli na ryby. Nie wszyscy chodzili na wcześniejsze msze o godzinie 9 lub 10. Sporo osób szło na sumę, na godzinę 11. W latach 30-tych parafialny kościół znajdował się na Kamionku, a od 1938 r. na Saskiej Kępie, chodzono jednak i do bliższej kaplicy albertynów na Grochowskiej przy Wiatracznej lub do kościoła przy placu Szembeka.

Niedzielne śniadania przeważnie, choć nie zawsze, jedzono razem. Starano się, żeby były trochę lepsze niż codzienne. Kupowano więc „wędliny parę deka, jajka smażyli”, często podawano na niedzielne śniadania galaretę z nóżek. Obiad w niedzielę był zazwyczaj „po sumie”, to jest po godzinie 12³⁰. Składał się na ogół z dwu dań: często był to rosół z krakowską kaszką lub z kartoflami, zupa pomidorowa, kotlet mielony lub schabowy z kartoflami, mizeria, sałata lub kapusta, a w zimie „jarzyna z buraków”; „czasem flaki gotowali”. Rzadko gotowano kompot, bo mało kto miał własne owoce. Na kolację jadano to, „co zostało z obiadu. Przeważnie robili większy obiad, żeby na kolację było”. Kolacji w niedzielę nie jedzono razem, „bo każdy o innej porze wracał. Był to czas wolny i spędzano go różnie; nikt nie regulował nikomu”.

W okresie międzywojennym utrzymywał się jeszcze na Gocławiu ów bardzo zasadniczy stosunek do świętowania niedzieli i świąt kościelnych, tak charakterystyczny dla społeczności tradycyjnych. Pamiętano, że przed pierwszą wojną światową zakaz pracy w niedzielę i święto łamano tylko w żniwa, kiedy np. trzeba było zebrać stojące na polu w kopcach zboże przed nadchodzącą burzą. W okresie późniejszym podobnie traktowano np. pracę w tramwajach¹⁹. Do tych, którzy musieli pracować w niedzielę, odnoszono się nawet z pewnym współczuciem, że nie mogą w tym dniu odpocząć. Pozostali pracy w niedzielę i święta bardzo unikali. Jeśli np. ktoś zarobkujący jako furman miał pilną reperację wozu, to starał się to zrobić rano, przed godziną 11, „przed sumą”. Kobiety wracające

¹⁷ Wyw. 1/01, inf. J.L.

¹⁸ Wyw. 21/01, inf. A.R.; 25/01, inf. J.L., 13/01, inf. H.W.

¹⁹ Wyw. 14/01, inf. A.R.

z kościoła pilnowały, aby mężowie nic wtedy nie robili. Jeśli się do tego nie stosowali, wymyślały im od bezbożników i komunistów. W niedzielę, oprócz przygotowywania posiłków, nie wykonywano żadnych innych prac domowych. Wyłamywały się z tego tylko nieliczne jednostki i to nie ze względów ideowych, bo na Gocławiu, co podkreślano, komunistów nie było²⁰.

Sposoby spędzania czasu wolnego, zarówno w niedzielę, jak i w inne dni wolne od pracy, były dość wyraźnie zróżnicowane, w zależności od płci i wieku. Do wyjątków nie podlegających tej regule zaliczyć można majowe nabożeństwa przy kapliczce u zbiegu ulicy Żymirskiego i Mimośrodowej, w niedzielne popołudnia gromadzące mieszkańców Gocławia liczniej niż w dni powszednie²¹.

Nieodłączną częścią niedzielnego popołudnia były na Gocławiu posady na wale lub za nim, wśród rosnących tam wysokich, starych drzew, nad zarośniętymi sitowiem i trzcina jeziorkami. Młodzież niekiedy zabierała ze sobą patefon, mężczyźni przeważnie grali w karty: w „66”, w „beta”, w „tysiaca”. Kobiety rozmawiały, wykonując jakieś robótki. Posady na wale były też okazją, aby od osób spacerujących po nim usłyszeć najnowsze wiadomości.

Namiętnością starszych i młodszych gocławian były gołębie²². Hodowano je „prawie w każdym podwórzu [...] łapali je jeden drugiemu, handlowali nimi”. Trudno sobie wyobrazić niedzielne, zwłaszcza letnie popołudnia bez szybujących nad zielenią Gocławia gołębi i bez ich właścicieli ze szmatami na długich tyczkach, z napięciem obserwujących ich lot. Dzieci i młodzież w wieku szkolnym w niedzielne popołudnia chodziła też do kina lub do wesołego miasteczka przy zbiegu al. Waszyngtona i Wiatracznej. Starsi wybierali się na tzw. „kawalerkę”, przeważnie do sąsiednich wsi – Bluszcze, Las, Zerzeń, Wawer. Czasem były to towarzyskie spotkania ze znajomymi lub krewnymi z tych wsi, innym razem jakaś potańcówka lub wesele, jednym słowem, okazje sprzyjające nawiązaniu nowych kontaktów, zwłaszcza z miejscowymi pannami, wśród których można było znaleźć kandydatkę na żonę. Ci, co mieli już swoje dziewczyny, szli z nimi „za wał”, do okolicznych lasków, nad Wisłę, „na lotnisko”²³ (Woźniak 2002, s. 175–177).

Do letnich rozrywek niedzielnych dorosłej młodzieży i panien na wydaniu, nie zawsze, jak się wydaje, akceptowanych przez matki tych ostatnich, należały zabawy taneczne na świeżym powietrzu, w nieco odległym od Gocławia lasku pod Rembertowem. „Za Marysin, Rembertów, tam to latali – opowiada J.L. – ale to już ci starsi, co już oficjalnie z dziewczynami chodzili, co się mieli żenić, to już do Dębinki lecieli. Bo tak, to by matka nie puściła [dziewczyny] żadnej – ale jak już chłopak pewny, stateczny... Młodszy nie szli tam nawet popatrzeć, bo daleko było”²⁴. Dość szczegółowy opis takiej zabawy w rembertow-

²⁰ Wyw. 12/01, inf. J.L.

²¹ Podobne nabożeństwa przy kapliczce odbywały się w sąsiedniej wsi Las.

²² Najbardziej zagorzali gołębiarze wracając z pracy „najpierw szli do gołębi, a dopiero później do domu”. Ich żony bardzo się tym denerwowały. Wyw. 1/03, inf. J.L.

²³ Wyw. 8/01, inf. J.L.

²⁴ Wyw. 1/01, inf. J.L.

skiej Dębince w sierpniowy niedzielny wieczór znajdujemy w tomie grochowskich wspomnień Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego: „Było już dobrze ciemno, gdy weszliśmy w ludny las rembertowski, dzisiaj przy niedzieli, niemal pod każdym drzewem pełen rozłożonych – osobno koleżanek, osobno kolegów, osobno całych rodzin z wózkami i z dziećmi, osobno zakochanych. Każdy letni wieczór coraz bardziej upodabnia ten las do śmietnika, nowe krocie do pozostawionych papierów, łupin, skorup, pudełek, butelek, łącznie ze zgubionymi zabawkami dzieci, zeszytami i książkami uczennic i uczniów, kapeluszami ojców, krawatami ojców, chustkami matek, pończochami matek, majtkami córek, prezerwatywami młodzieży męskiej. [...] Na dani najwidoczniej dzisiaj zbita z desek estrada. Chyba setka świec, rozstawionych wzdłuż brzegów, otacza, oświetla, tańczące nogi – w spodniach, w pończochach, bez pończoch, w pantoflach, w długich butach, w pepegach, w człapakach i na bosaka. Suknie kolorowe, czyjaś torba z torebką, czyjaś ręka z chustką – wyżej nie widać. Z bębmem i z harmonią grają także i skrzypce. Na przemian – walczyka, poleczkę, tango. Tańczy setka nóg albo może jeszcze więcej?” (Boguszewska, Kornacki 1959, s. 85–86).

Miejscem niedzielnych biesiad i rozrywek, wspomnianym zarówno przez mieszkańców Gocławia, jak i innych rejonów Grochowa, były ogrody Laubera przy ul. Grochowskiej. Pisał o nich również Jerzy Kasprzycki. „Starsi mieszkańcy Grochowa doskonale pamiętają park Laubera ze wspaniałymi alejami kasztanowymi – ulubionym miejscem spotkań i zabaw. Nazwa kojarzy się z rodziną osadników, której protoplasta miał tu ogrodnictwo, zaś ostatni przed wojną potomek był inżynierem agronomem. Przed przyłączeniem Grochowa do Warszawy ogrody Laubera sięgały aż do torów kolei Nadwiślańskiej. Potem w dużej części zostały rozparcelowane, natomiast sam dworek – bardzo malowniczy – istniał po ostatniej wojnie prawie do końca lat czterdziestych – mniej więcej przy wylocie ulicy Kordeckiego” (Kasprzycki 1998, s. 299). W sąsiedztwie ogrodów Laubera, na niezabudowanych placach, w latach dwudziestych odbywały się imprezy sportowe, organizowane przez działający pod patronatem Towarzystwa Przyjaciół Grochowa klub „Korona”.

W drugiej połowie lat 30-tych, jak się wydaje, ogrody Laubera swój okres świetności miały już za sobą. Jako miejsce zabaw tanecznych wspomina je jeszcze M.W., najstarsza mieszkanka Gocławia²⁵. Młodszy pamiętają ogrody Laubera jako zadrzewiony, pagórkowaty teren, gdzie można było latem popływać łódką po znajdującym się tam stawie, pobujać się na huśtawce, a zimą pojeździć na łyżwach lub zjeżdżać na sankach z licznych pagórków²⁶. Podobną rolę, jak na Grochowie ogrody Laubera, spełniał na Pradze rozległy, zadrzewiony obszar na tyłach Parku Praskiego, zwany przed pierwszą wojną Zaparkiem (Świdrowski

²⁵ Np. F.C. (1913, wyw. 4/97) wspomina, że tam „cały Grochów się bawił, tańczył”. O „słynnym ogrodzie Laubera” mówi też J. Sz. (1913, wyw. 5/98).

²⁶ Wyw. 3/99, inf. J.L. Zdaniem S.W. (wyw. 1/04) ów stawek w ogrodach Laubera był glinianką.

1980, s. 55), a w latach międzywojennych Gajem. W ostatnim okresie swojego istnienia, w połowie lat 20-tych, Gaj bez wątpienia oferował swoim bywalcom znacznie więcej atrakcji niż ogrody Laubera, ale nie wiemy czy te atrakcje stanowiły dla grochowian wystarczającą zachętę do odwiedzania tego dosyć odległego od ich dzielnicy miejsca. Niektórzy mieszkańcy Grochowa wspominają natomiast o zabawach w wybudowanym w latach 30-tych praskim lunaparku oraz o wycieczkach statkiem wiślanym z Saskiej Kępy na dość odległe Bielany²⁷.

Klimat przedmiejskiej niedzieli w Gaju i w znanym nawet mieszkańcom odległych dzielnic Warszawy lunaparku nad Wisłą barwnie opisał Zdzisław Kaliciński: Gaj ciągnął się wzdłuż Ratuszowej, „między wałem nad Wisłą a Jagiellońską, po lewej stronie ulicy, była szkółka drzew Zieleni Miejskiej i Park Praski, a po drugiej – kościół Matki Boskiej Loretańskiej, pamiętający jeszcze rzeź Pragi. Za nim była plebania i druga szkółka drzew należąca do Magistratu, a za nią dopiero był Gaj. Ciągnął się on wzdłuż Ratuszowej do wału i dalej na północ aż do mostu kolejowego (Obecnie Starzyńskiego). Rosły w nim piękne, wielkie topole, a między nimi cudowna zielona trawa. Był to tradycją uświęcony teren niedzielnego wypoczynku prażan. Od pierwszych ciepłych dni majowych od samego rana ciągnęły tam nieraz całe rodziny. Tuż obok furtki parkowej po obu stronach Ratuszowej ustawiały się stragany, na których można było dostać wszystko, co i dziś na odpustach gdzieniegdzie jeszcze bywa. Były loterie typu: «Trąc panna kogutka w ogonek, a wygrasz złoty pierścionek». Złoty to on nie bywał, ale błyszczał jak złoty i leżał jeden jedyny wśród sterty groszowych cukierków, glinianych kogucików, kotków, ptaszków, główek amorków czy też popiersi obfitych dziewcząt–potworków. Dla amatorów były też strzelnice z wiatrówkami, z premiami oczywiście, i gry zręcznościowe. Najczęściej była to leżąca na ziemi tablica z wystającymi kołkami, na które trzeba było zarzucić drewniane lub metalowe kółka. Były naprędce organizowane salony gry, wystarczyła jakaś skrzynka, stojący nad nią «pan elokwentny» wyjmował z kieszeni garść cukierków i rozrzuciwszy je na kupki rozpoczynał taką oto orację:

– Szanowne państwo! Bez picu, bez lipy i bez wyścigów konnych mamy oto możliwość wziąć udział w solidnej zabawie! Wystarczy tylko bystre oko i już zarabiamy podwójną stawkę! Za dwa płacimy cztery, za pięć – dziesięć! Trzeba tylko obserwować, forsy nie żałować! No i zaczynamy te dzieciennie prosta zabawę! Mamy na stoliku parę cukierków, jeśli dodamy trzy będzie niepara, do niepary niepara i będzie para! A jak do tej pary dodamy jeszcze trzy pary, to też będzie para! No to dodajmy jeszcze nieparę i na pewno będzie para. Kto stawia? Tylko szybko! Hop siup i zaczynamy!” Gra w „para, nie para” skupiała wielu amatorów nieskomplikowanego hazardu i łatwego zarobku, ale gdy nabierała rumieńców i jej organizator „zbijał kasę”, podchodził do niego ktoś i coś mu szeptał do ucha. Wówczas ten szybko zgarniał cukierki i mówił: „Policja, tajniaki, pryskamy!” – znikał. „Pod ogrodzeniem parku ustawiali się sprzedawcy pestek i lodów z koszykami, wózekkami albo z drewnianymi beczułkami wypełnionymi topniejącym lodem. Czasem przychodził jeszcze ślepy katarzyniarz. Myśmy wiedzieli, że on wcale nie jest ślepy i że

²⁷ O lunaparku („wesółym miasteczku”) przy ogrodzie zoologicznym, „z taką piekielną kolejką”, opowiada inf. A.K. (wyw. 12/98), a o wycieczkach na Bielany i tańcach młodzieży na świeżym powietrzu inf. F.C. (wyw. 14/97).

tylko na niedzielę zakładał ciemne okulary i nosił laskę. Kręcąc korbą kataryniarz wędrował od jednej biesiadującej kompanii do drugiej i zbierał datki [...]

Towarzystwo było tu zupełnie inne niż na Bielanach. Byli to przeważnie robociarze i rzemieślnicy z Pragi Starej i Nowej. Przede wszystkim byli inaczej ubrani. Tak więc według obowiązującej na Pradze mody młodszy i w średnim wieku panowie nosili białe albo jasne spodnie, białe letnie pantofle, najczęściej płócienne, albo zwykłe pepegi. Strój uzupełniały kolorowe, w paski poprzeczne skarpetki i białe koszule, obowiązkowo ze sztywnym kołnierzykiem i kolorowym krawatem. Z marynarkami było już różnie. Zgodnie z wymogami mody marynarka powinna być czarna i do niej słomkowy, płaski, z czarną wstążką kapelusz. W gruncie rzeczy jednak do Gaju marynarkę nosiło się rzadko [...] Zamiast słomkowego kapelusza wkładało się cyklistówkę, czyli kraciastą kolorową czapkę z dużym daszkiem. Nieodzownym uzupełnieniem stroju była jeszcze gruba tonkinowa laska, czyli laga – jak się ją tu potocznie nazywało. Panie odziewały się bardziej kolorowo. Bez względu na tuszę każda wciskała się w bajecznie kwiecistą suknię lub spódniczkę i bluzkę. Na nóżki wkładały spiczaste prunelki lub giemzowe pantofelki, czasem strój uzupełniała chustka kolorowa z kaszmiru lub jedwabiu, wyciągnięta z maminej skrzyni, a może kupiona u Herca na Ząbkowskiej. Bo u Herca na Ząbkowskiej można było dostać wszystko, co kobiecie niezbyt zasobnej, a eleganckiej było potrzebne. Same jedwabie, same cymes, oczywiście towar ekstra tani i ekstra fajny! Za pół ceny!

Przyjemnie wyglądała piękna zieleń Gaju, prześwietlona gdzieniegdzie złotem słońca, szarobrazowe pnie potężnych topoli dźwigały ciężki parasol zielonych liści. Między konarami topoli krążyły gawrony i gołębie. Wśród tej zieleni siedziało barwne towarzystwo, które nie doczekało się swojego Gierymskiego. Były i serwety bielutkie, i kielbasy, i salcesony, i «Owoce i wina» – czyli ogórki kiszone i «tata z mamą» lub też zwykła czyściocha. No i były urocze panie – wszystkie ożywione, rozmowne, siedziały czuwając, by na czas podać zakąskę lub picie” (Kaliciński 1983, s. 166–168).

Jako miejsce niedzielnego wypoczynku prażan Gaj istniał do roku 1927. Później Magistrat zdecydował, że na tym terenie utworzony zostanie ogród zoologiczny z prawdziwego zdarzenia, bo dotychczasowy na Powiślu przedstawiał się wręcz żałośnie. „W zamian za Gaj – Magistrat postanowił zafundować mieszkańcom Warszawy nie byle co, ale prawdziwy lunapark. Stało się to kosztem Parku Praskiego. Po prostu ogrodzono jedną trzecią terenu od strony Wisły i lunapark zaczął momentalnie działać. Czego tu nie było! Beczki śmiechu, gabinety krzywych luster, zjeżdżalnie, samochody elektryczne... A w drugim roku działalności zbudowano kolejkę górską. Była to rzeczywiście ogromna kolejka, usadowiona wzdłuż ulicy Zygmuntowskiej, drugą krawędzią przylegającą do mostu Kierbedzia, wysoka na dobrych pięć pięter, aż dech zapierało” (Kaliciński 1983, s. 169–170).

Oprócz lunaparku na obrzeżach Parku Praskiego – zwanego „Ogrodem 100 pociech” – władze miejskie zorganizowały również na warszawskich przedmieściach

miejsca przystosowane do urządzania zabaw tanecznych na świeżym powietrzu, tzw. patelnie. Znajdowały się one m.in. na Targówku, Bielanych, Saskiej Kępie (Kaliciński 1983, s. 170)²⁸. „Patelnia” taka była również i na Grochowie, a raczej na Gocławku, przy pętli tramwajowej²⁹, ale popularnością miejsce to nie dorównywało opisanym wcześniej zabawom urządzanym w Rembertowie „Pod Dębami”, gdzie, jak wspomina informator z Grochowa, „orkiestra grała, bufet był – wozami przywozili”³⁰.

Miejsc, gdzie za niewielkie pieniądze lub bezpłatnie można było w niedzielę potańczyć było zatem na Grochowie i w najbliższych jego okolicach parę. M.W. z Gocławia, znająca ogrody Laubera i inne „patelnie” w okolicy, ze szczególnym sentymentem wspomina łąki Gocławia, na których latem obozowali Cyganie i gdzie niejednokrotnie przy cygańskiej muzyce tańczyła³¹.

Nie miał Grochów swojego lunaparku, czy też, jak mówiono po wojnie, „wesołego miasteczka” na praską miarę, ale latem w paru miejscach funkcjonowały jego namiastki: karuzele, huśtawki, a obok nich koniecznie strzelnice, niekiedy beczki śmiechu czy gabinety krzywych lusterek. Sprzedawano tam zazwyczaj również lody, tanie słodycze i lemoniadę. Takie miejsca niedzielnych uciech, przede wszystkim dla dzieci i młodzieży, znajdowały się np. u zbiegu ulic Grochowskiej, Wiatracznej i alei Waszyngtona, obok lasku zwanego „choinki”³², na dwu niezabudowanych parcelach za placem Szembeka, obok apteki mgr Żłobikowskiego oraz przy pętli tramwajowej na Gocławku³³.

W letnie czwartkowe popołudnie przy placu Szembeka rozstawił swój sprzęt i dekoracje uliczny fotograf. Powinien tam stanąć w niedzielę, kiedy ludzie wychodzą z pobliskiego kościoła. Ten jednak liczył prawdopodobnie na klientów powracających tego dnia z końskiego targu przy ulicy Podskarbińskiej – zastanawiają się autorzy *Zielonego lata 1934*, którzy tak utrwalili go na kartka swojej książki:

Na placu Szembeka widzimy coś nowego [...] Oto wędrowny fotograf rozłożył się z aparatem na trójnogu i ze składanym krzeselkiem – w cieniu zielonego parasola, dobrze już zużytego, bo z łatami innych maści na dziurach. Wszystko razem w pobliżu pierwszych wierzb, na samym początku ulicy Chłopskiego, którą tutejsi ludzie nazywają aleją. Przy jednej takiej wierzbie, od słonecznej strony fotograf poustawiał, niby dekoracje na przedmiejskiej swojej scenie – na zielonej darni, pod niebieskością nieba – wszystko do wyboru: wodę, namalowaną na dykcie, wielką, głęboką i czystą, nad nią trzciny, na niej dwa łabędzie, na innej dykcie – góry, dalekie o śnież-

²⁸ Takie miejsca zabaw ludowych pod gołym niebem stały się w Warszawie szczególnie popularne po drugiej wojnie, ale nazywano je już wówczas „dechami” („patelnia i dechy, to w zasadzie to samo”, mówi inf. A.K., wyw. 12/98).

²⁹ Wyw. 5/97, inf. N, i 5b/97, inf. N. Natomiast inf. F.C. (1913, wyw. 4/97) wspomina, że „patelnia” znajdowała się niegdyś w okolicach pl. Szembeka, twierdzi również, że „patelnią” nazywano też salę tańca w ogrodzie Laubera, gdzie „cały Grochów się bawił, tańczył”.

³⁰ Wyw. 5/97, inf. N. (1925).

³¹ Wyw. 2/2000, inf. H.W. (1919).

³² Wyw. 1/04, inf. S.W. Pochodząca z Gocławia inf. H.S. wspomina, że „tam jak jest Uniwersam, to tam był lasek, tam była stacja kolejki, która chodziła do Otwocka [i tam] takie rozrywki były tylko przed wojną”; wyw. 1/00. J.L. z Gocławia pamięta, że odbywały się tam tańce przy muzyce jakiegoś zespołu; wyw. 1/01.

³³ Wyw. 1/04, inf. S.W.

nych wierzchołkach, a przecież jak najbliższe, jeszcze na innej ruiny, z zachowaną wieżą, ze złamanymi kolumnami i co najdziwniejsza – z domalowaną głową konia naturalnej wielkości, właśnie w tym miejscu, żeby można się było sfotografować na tle tych ruin, obejmując jednocześnie konia za szyję (Boguszewska, Kornacki 1959, s. 123–124).

Rozrywki dla dzieci i młodzieży z przedmieść organizowało Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. W końcu lat 30-tych, na Saskiej Kępie np., urządzano w letnie niedziele na łąkach, obok dzisiejszego stadionu Dziesięciolecia, festyny dla dzieci. Dla tych mniejszych opiekunki RTPD organizowały zabawy i gry w grupach, m.in. rozpowszechnioną w tamtych czasach grę w sersto, rzucanie kółkami w figurki podobne do kręgli i inne zabawy zręcznościowe. Działała niewielka karuzela z konikami. Dla starszych było wspinane się na słupy z nagrodami, oczywiście strzelnica oraz inne atrakcje³⁴. Dla dorosłej i nieco bardziej wymagającej publiczności z Saskiej Kępy, Kamionka i Grochowa w pobliskim Parku Paderewskiego odbywały się w niedziele koncerty na świeżym powietrzu³⁵.

Aktywną działalność kulturalno-oświatową prowadziło Towarzystwo Przyjaciół Grochowa, zwłaszcza po roku 1924, kiedy nastąpiła prawie całkowita zmiana zarządu, do którego weszli przeważnie ludzie młodzi. Nakreślono nowy plan działania, z powodzeniem następnie realizowany. Powołano do życia Koło Kulturalno-Oświatowe z sekcjami: dramatyczną, chóralną, muzyczną, sportową i odczytową. Dzięki pomocy finansowej władz miasta rozwinęła się zwłaszcza działalność sekcji chóralnej i muzycznej, a grochowskie zespoły zaczęły występować również poza własną dzielnicą. Bardzo aktywna była też sekcja teatralna, która dała na Grochowie wiele przedstawień. W okresie najbardziej ożywionej działalności Koła jego sekcja sportowa liczyła 60 członków, chóralna 50, a teatralna 40.

Towarzystwo organizowało imprezy dla dzieci – przedstawienia teatru kukielkowego RTPD czy popularne w dzielnicy uroczystości choinkowe (Poliński 1938, s. 166–169). Działalność TPG znajdowała na Grochowie szeroki oddźwięk społeczny, ale Gocław nie był zupełnie w tę działalność zaangażowany i nie zostawiła ona, podobnie jak działalność innych miejscowych stowarzyszeń i organizacji społecznych, głębszych śladów w pamięci jego mieszkańców.

W roku 1929 zatwierdzony został statut powstałego rok wcześniej Towarzystwa Przyjaciół Saskiej Kępy, Kamionka i Gocławia, wybrano też jego pierwszy stały zarząd. Bardziej ożywioną działalność rozpoczęło jednak dopiero po powołaniu w roku 1930 nowego zarządu. W jego składzie znalazł się m.in. Cezary Wolfram z Gocławia. Niemal cała aktywność Towarzystwa skierowana została w stronę działań mających na celu budowę infrastruktury szybko rozwijającej się dzielnicy, natomiast kwestie kulturalne, które ze względu na strukturę społeczną jej ludności miały swoją wyraźną specyfikę, zdawały się pozostawać niejako na drugim planie. Jednym z najważniejszych przedsięwzięć Towarzystwa w tej dziedzinie było uruchomienie przy ul. Miedzeszyńskiej 5 biblioteki i czytelnicy (Drozdowski 1977, s. 4)

³⁴ Wyw. 2/04, inf. J.S.

³⁵ Wyw. 2/04, inf. J.S. Pochodzący z Kamionka inf. R.M. chodził tam od czasu do czasu wraz z całą rodziną (wyw. 10/98).

III

Tygodniowy rytm czasu pracy i czasu poza pracą oraz niedzielnego wypoczynku i rozrywki ulegał mniejszym lub większym zmianom w dniach świątecznych i okresach je poprzedzających. Święto, zarówno to związane z cyklem przełomowych wydarzeń życia ludzkiego, jak i z obrzędami dorocznymi, narzucało własne reguły rządzące czasem oraz właściwy mu zespół zachowań i obrzędów.

Ponieważ szczegółowy opis obrzędów i wierzeń związanych z obu cyklami świątecznymi nie jest celem mojego artykułu, postaram się zwrócić w nim przede wszystkim uwagę na zmiany, jakie określone święta powodowały w tygodniowym rytmie czasu pracy i czasu wolnego goślawian.

Jednym z najważniejszych wydarzeń rodzinnych były narodziny dziecka. Poród na Gościńcu odbywał się w domu. Kiedy kobieta poczuła ból, posyłano po umówioną wcześniej akuszerkę. Ta po przyjściu „myła ręce i zabierała się do roboty”, wyganając wcześniej męża położnicy z izby. Po urodzeniu myła dziecko w miednicy, owijała w pieluchy i wołała do ojca: „masz chłopaka” albo: „masz dziewczuchę”. Jeśli dziecko było słabe, chrzcili je zaraz. Na Gościńcu było w zwyczaju, że po szczęśliwym porodzie akuszerkę częstowano przygotowaną na tę okazję „grzanką” z wódki z cukrem i czekoladą. Gdy dziecko było zdrowe z chrztem w kościele czekano do jakichś dużych świąt, „bo było taniej”. W nagłych wypadkach jednak nie czekali nawet do niedzieli i chrzczono je w dzień powszedni. Na chrzestnych wybierano kogoś z rodziny, „albo najbogatszego”. Imię nadawano dziecku także, „jakie sobie przyniosło”, tj. imię patrona dnia, w którym się urodziło, lub po kimś z rodziny. Wystawność chrzcina „zależała od kieszeni”; kiedy w rodzinie była bieda brali w nich udział „tylko kum, kuma i domowi”, zdarzało się też, że nie robiono żadnego przyjęcia. Zwykle jednak zapraszano gości z rodziny, najbliższych sąsiadów i znajomych, niekiedy 20–30 osób, a bywało i więcej. Gości podejmowano przeważnie obiadem, po obiedzie była „gorzałka”, wędlina, później ciasto. „Jak jeszcze gdzie muzykant był, to pograł, potańczyli, zabawa była przy okazji”. Gdy goście sobie podpili, „to i pośpiewali sobie”. Alkoholu było tyle, na ile rodzice mogli sobie pozwolić. Decydował o tym ojciec. „Przeważnie na takie chrzciny, to i tak włązili w długi” – mówi inf. J.L. – „chyba, że ktoś robił na państwowym”. Latem, gdy była ładna pogoda, przyjęcie robiono gdzieś w cieniu poza domem. Przeważnie jednak odbywało się ono w mieszkaniu. Starano się, aby było ono możliwie wystawne – „żeby się pokazać”. Część potrzebnych sprzętów i naczyń pożyczano od sąsiadów, a siedziska robiono niekiedy z desek pokrytych kapą albo kocem³⁶.

W okresie międzywojennym Pierwsza Komunia była bardziej uroczystością szkolną, niż świętem rodzinnym. „Nie była tak uroczystością [jak obecnie] obchodzona, bo była bieda” – mówi informatorka z Gościńca³⁷. Przygotowanie do Pierwszej Komunii prowadzone było w ramach lekcji religii w szkole. Uroczystość od-

³⁶ Wyw. 7/01, inf. J.L.

³⁷ Wyw. 13/01, inf. H.W.

bywała się w maju – wspomina J.L., również mieszkaniec Gocławia – w niedzielę. W dzień komunii dzieci zebrali się w szkole i w szyku, ze sztandarem szkolnym i nauczycielami, zwłaszcza wychowawcami klas komunijnych, poszły do kościoła. Ubranka chłopcy mieli granatowe z białą kokardą na ramieniu i białe koszule, spodnie różnej długości. Dziewczęta były w białych sukienkach z wianuszkami na głowie. Po komunii dzieci wracały do szkoły na śniadanie – kakao, ciasto i pączki. Po śniadaniu szły do domu, a po południu jeszcze raz do kościoła. W domu nie było żadnej uroczystości ani prezentów, tylko rodzice starali się być tego dnia na komunijnej mszy świętej – krewni raczej nie bywali. Po powrocie do domu trzeba było zdjąć odświętne ubranie, aby się nie zniszczyło³⁸.

Ślub i wesele były w polskiej, uboższej części społeczności Gocławia wydarzeniem, które – szczególnie w czasie kryzysu końca lat 20-tych i pierwszej połowy lat 30-tych – mobilizowało do wielkiego wysiłku organizacyjnego i finansowego rodziny obojga młodych, a nierzadko i ich samych. Większego – jak się wydaje – znaczenia niż w okresie wcześniejszym nabrały wówczas tzw. oświadczyzny. Były one rodzinną uroczystością, na którą rodzice młodej zapraszali rodziców jej przyszłego męża. Spotkanie odbywało się przeważnie w sobotę. Przygotowywano uroczysty obiad „z gorzałką, jak pół wesela prawie”, podczas którego omawiano sprawy związane ze ślubem i weselem, uzgadniano, u kogo się ono odbędzie, bo choć tradycyjnie odbywało się ono u panny młodej, to nie zawsze było to możliwe. Określano podział wydatków. Główny ciężar organizacji wesela spoczywał na rodzicach dziewczyny, druga strona płaciła za alkohol, muzykę, przejazd do ślubu, fotografie. Niekiedy „bywały kłopoty z dogadaniem się”. Podczas obiadu kandydat na męża prosił rodziców panny o jej rękę. Jeśli mógł, dawał jej pierścionek, ale na Gocławiu, gdzie była bieda, zdarzało się to rzadko, bo duże były wydatki na ślub i wesele. W czasie „oświadczyzny” omawiano też sprawę posagu i wyprawy. W posagu panna dostawała przeważnie „trochę jakichś mebli” albo pieniądze na nie. Szwagier inf. J.L., który pracował w znanej na Grochowie pralni Gebera i miał oszczędności, mógł wynająć mieszkanie i kupić najpotrzebniejsze meble. Od czasu „oświadczyń” spotkanie „młodzi się już nie kryli”. Byli oficjalnie narzeczeństwem, ludzie naokoło o tym wiedzieli. Nawet jeśli termin ślubu bardzo się przeciągał, przeważnie z braku pieniędzy, kiedy narzeczeństwo było oficjalne, nie budziło to zgorszenia³⁹. Gdy ustalono już termin ślubu, młodzi (niekiedy wraz z rodzicami) chodzili zapraszać gości⁴⁰. W latach kryzysu zapraszano na wesele 50, a niekiedy i więcej osób – krewnych i najbardziej zaprzyjaźnionych sąsiadów. Tych, których nie można było zaprosić na wesele, proszono na „poprawiny”.

³⁸ Wyw. 9/01, inf. J.L.

³⁹ Wyw. 8/01, inf. J.L. W środowisku robotniczym Warszawy w latach 30-tych rezygnowano niekiedy z weselnego przyjęcia, aby za zaoszczędzone pieniądze wynająć mieszkanie i kupić trochę mebli (Garwaeki 1983, s. 78). Czasem ograniczano się do skromnego poczęstunku dla paru najbliższych osób z rodziny, tak jak A. Nowakowski z Ochoty, który mógł się ożenić ze swą narzeczoną dopiero po siedmiu latach znajomości (Nowakowski 1973, s. 52–53).

⁴⁰ Wyw. 14/01, inf. A.R.

Wesele urządzano w domu panny młodej, przeważnie w niedzielę, „a w poniedziałek były poprawiny”⁴¹. Jeśli było ciepło, tańczono również na podwórku przed domem. Bawił się wtedy prawie cały Gocław, bo w tańcach brali udział i ci, których na wesele nie zaproszono. Potrawy weselne – koniecznie rosół, a jeśli rodzinę było stać, to jeszcze np. kotlety z kartoflami i buraczkami, niekiedy flaki – przygotowywała kucharka, umiejąca dobrze gotować kobieta z rodziny lub sąsiadka. Podawano również domowe wędliny z utuczonego na tę okazję wieprzka – salceson „czarny”, „włoski”, kielbasę, na końcu zaś ciasto. Pito wódkę, piwo, lemoniadę. W przygotowywaniu wesela pomagała cała rodzina i sąsiedzi organizacyjnie (użyczając swojej części domu, pożyczając sprzęty i zastawę) i materialnie, dostarczając niektóre produkty (np. wódka, jaja, itp.)⁴².

Gdy zmarł ktoś z mieszkańców Gocławia, zwłaszcza osoba dorosła, w jej pożegnaniu brała udział niemal cała katolicka społeczność przedmieścia. W ciągu trzech dni, kiedy ciało pozostawało w domu, wieczorami zbierano się przy trumnie, aby do późnych godzin wieczornych modlić się i śpiewać nabożne pieśni. W tych modlitewnych czuwaniach najliczniej uczestniczyły starsze kobiety. Na pogrzeb na cmentarzu bródnowskim szła większość mieszkańców Gocławia, tylko nieliczni zostawali w domach. Trumnę wieziono karawanem; kondukt kroczył ulicą Targową i przez całą Nową Pragę. Po mszy żałobnej, od kościoła do grobu, trumnę niesiono. Przy grobie otwierano ją, aby zebrani mogli „pożegnać się ze zmarłym”. Po pogrzebie zamożniejsi zamawiali w słynnej restauracji na Bródnie, znajdującej się przy ul. św. Wincentego, naprzeciw głównej bramy cmentarza, zwanej powszechnie „Pod Trupkiem”, poczęstunek – „konsolację”⁴³.

Imieniny w katolickich rodzinach na Gocławiu obchodzone były powszechnie, ale nie zapraszano na nie – „przychodził, kto pamiętał”. Urządzano je tylko dorosłym. Nie przekładano imienin na inny dzień. Odbywały się zazwyczaj przed wieczorem, „bo każdy pracował i nie było zwalniania się z pracy”. Dom przed imieninami sprzątano „jak na niedzielę”. Ponieważ mieszkania były przeważnie jednoizbowe, nie było problemu, gdzie przyjmując gości – jeśli ktoś miał pokój z kuchnią, przyjmowano ich w pokoju, ale zdarzało się i w kuchni. Stół nakrywano białym obrusem – „to już podstawa była”, wyciągano sztucce „jak kto miał lepsze”. Przygotowywano zazwyczaj trochę wędliny, trochę mięsa pieczonego czy duszonego, „trochę jajek z pieprzem i solą, boczek, ogórki, grzybki, jak ktoś miał, ciasto upiekli”, dawano „trochę gorzałki i wszystko” – czasy były ciężkie, ludzi nie stać było na urządzenie hucznych imienin. Jeśli spodziewano się więcej gości, przygotowywano się wcześniej, jeśli przychodziło parę osób, to gospodyni wyciągała poczęstunek z kredensu w ostatniej chwili. Rzadko przychodzono na Gocławiu do

⁴¹ Jeżeli w typowym gocławskim domu z sienią „na przestrzał” mieszkały dwie rodziny, wesele odbywało się w obu częściach domu: w jednej przygotowywano potrawy i jedzono, w drugiej tańczono.

⁴² Wyw. 1/04, inf. A.R.

⁴³ Wyw. 6/01. inf. J.L.; wyw. 14/01, inf. A.R. Obszerny opis „konsolacji” urządzonej przez zamożnego gospodarza ze wsi Zerzeń w podmiejskiej restauracji w sąsiadującej z Gocławiem osadzie Bluszcze zawiera *Zielone lato 1934* H. Boguszewskiej i J. Kornackiego (1959, s. 100–107).

solenizanta z kwiatkami, prezentów też raczej nie było – głównie ze względów finansowych – była bieda. Czasem kupowano coś, np. rodzicom. Przy imieninach śpiewano solenizantowi *Sto lat*; jak był patefon, to pograli potańczyli, wesoło było. „Wesoło to było, śpiewali nieraz, że ojej”. Czasem trafił się ktoś z harmonią. Latem imieniny urządzano na podwórku, w ogródku – ustawiano stół w cieniu.

U ewangelików obchodzono urodziny, ale przychodzili złożyć życzenia na imieniny do sąsiadów, jeśli dobrze ze sobą żyli. Do nich się raczej nie chodziło. „Pod tym względem, to oni zamknięci byli w swoim gronie”⁴⁴.

Choć w okresie międzywojennym byt mieszkańców Goćławia w coraz większym stopniu uzależniony był od pozarolniczych źródeł zarobkowania, to tutejszy kalendarz świąt dorocznych, mocno jeszcze osadzony w tradycji, nadal w znacznej mierze pozostawał związany z kalendarzem prac rolniczych. W okresie Bożego Narodzenia, kiedy nie było już żadnych prac w polu czy w ogrodzie, goćławianie więcej czasu niż w jakimkolwiek innym okresie mogli poświęcić na świętowanie, wypoczynek i zabawę.

Adwent, który poprzedzał i był oczekiwaniem na radosny okres Narodzenia Pańskiego, stanowił jednocześnie jego antytezę – „czas powagi i skupienia”. W czasie tym nie urządzano żadnych zabaw. Imieniny odbywały się, lecz były mniej huczne. Kobiety pilnowały, aby nikt nie tańczył, „ale pośpiewać, to sobie pośpiewali”. *Sto lat* wprowadzie zawsze musiało być, ale śpiewało się np. wiele pieśni wojskowych i patriotycznych. Przy imieninach był np. zwyczaj wspomniania tych zmarłych z rodziny, którzy dobrze zapisali się w pamięci. W Adwencie, podobnie jak w Wielkim Poście, nie urządzano wesel⁴⁵, w środy i w piątki poszczono. W latach 30-tych w dni postu jedzono już na Goćławiu wszystko oprócz mięsa, nawet smalec, lecz bez skwarek. Najczęściej jednak były to zupy mleczne, jajka, zwłaszcza gotowane, rzadziej smażone, bo trzeba było do tego używać tłuszczu. Do kraszenia używano przede wszystkim oleju⁴⁶.

W Adwencie wczesnym rankiem, jeszcze przed śniadaniem, śpiewano po domach *godzinki*. Ci, co mogli, szli do kościoła na *roraty*. Sąsiedzi budzili jeden drugiego, aby zdążyć do kościoła na godzinę 6 rano⁴⁷. Przez cały Adwent dzieci robiły zabawki na choinkę, ze słomy, z kolorowego papieru i krepiny, jeże, łańcuchy, gwiazdki, rzadziej zabawki z wydmuszek. Choinki zdobiono również ciastkami własnej roboty, orzechami i małymi jabłuszkami. Niewiele rzeczy kupowano – głównie papier i główki aniołków, świeczki, rzadko bombki, które

⁴⁴ Wyw. 16/00, inf. J.L. Informatorka H.W. uważa, że imieniny obchodzili ci „co mieli pieniędzy”; wyw. 13/01.

⁴⁵ Nie było w Adwencie i w Wielkim Poście ślubów, poza jednym dniem, św. Józefa (19 marca), kiedy zgodnie z tradycją śluby dawano; wyw. 21/01, inf. J.L.

⁴⁶ Wyw. 21/01, inf. J.L. W przeszłości na początku Adwentu wyparzano garnki popiołem, aby nie pozostały w nich nawet ślady tłuszczu. Inf. A.R. powołując się na opowiadania babki męża, wymienia potrawy jedzone niegdyś w dni, w które obowiązywał post, tj. w środy i w piątki. Była np. „zarzutka” z kapusty, zalewajka, a przede wszystkim kartofle z cebulką i olejem, zalewane kwasem od kapusty z kiszonymi wraz z kapustą buraczkami. Jedzono też śledzie i inne ryby. Wyw. 17/01, inf. A.R.

⁴⁷ Wyw. 23/01, inf. J.L., wyw. 17/01, inf. A.R.

„bardzo szanowano” – „pudełko nowych bombek to była dla dzieci wielka radość”. Choinkę ubierano przeważnie tuż przed wigilią. Jak ktoś miał mieszkanie dwuizbowe, to choinkę stawiał wcześniej w pokoju; starano się ją stawiać przy oknie, żeby było ją widać z zewnątrz⁴⁸. W wigilię Bożego Narodzenia kończono prace (w gospodarstwie) o zmierzchu, „o pierwszej gwiazdce”. Ci, co pracowali poza gospodarstwem, też przeważnie wracali wcześniej, choć nie zawsze⁴⁹. Porządki świąteczne w małych mieszkaniach na Gołławiu, zazwyczaj jednoizbowych, nie trwały długo. Robiono je przeważnie w przeddzień wigilii – zmieniano pościel, sprzątano. Tylko tam, gdzie były chociaż dwie izby, przygotowania zaczynało wcześniej: „wysprzątało pokój i nikogo tam nie wpuszczali”. W przeddzień wigilii robiono również gruntowne mycie⁵⁰.

Pierwszej gwiazdki wypatrywały przeważnie dzieci – wraz z nią rozpoczynało się wieczerze wigilijne. Stół do wieczerzy przykrywano białym obrusem, pod nim rozścielano sianko. Nakrycia dawano najlepsze, jakie były w domu, unikano podniszczonych. Potraw wigilijnych powinno być 12, ale często bywało mniej: kapusta z grochem, ryby, zupa śliwkowa z kluskami, pierogi z grzybami, z kapustą, kompot z suszu (śliwkowy), ciasto przeważnie drożdżowe, rzadziej – makkowiec, sernik. Na środku stołu stawiano opłatek. Matka lub ojciec zaczynali wieczerze „krótkim pacierzem” i dzielili się opłatkiem z całą rodziną. Opłatkiem dzielono się też ze zwierzętami gospodarskimi. W wigilię nie było zakazu picia alkoholu. „Później śpiewali aż się dachy unosiły”. Do najpopularniejszych kolęd należały: *Wśród nocnej ciszy*, *Bóg się rodzi*, *Cicha noc* (ta ostatnia była bardzo popularna wśród protestantów). Czasami wieczerza wigilijna przeciągała się aż do pasterki. Wędrowki na pasterkę bywały bardzo wesołe – rzucano się śnieżkami, żartowano. W pierwszy dzień świąt szli czasem do kościoła nawet ci, co byli na pasterce (głównie młodzież). Śniadanie tego dnia było bardzo obfite – dojadano pozostałości z wieczerzy wigilijnej, podawano wędliny. Obfity był również obiad. Do świątecznych dań obiadowych należały: rosół z makaronem lub kaszką krakowską pokrojoną w kostkę, schab, kotlety mielone z kartoflami, kapusta, „kielicha wypili”. Ciasta były takie same, jak na wigilię. Na podwieczorek jedzono wędliny, ciasto. Na kolację – „co kto chciał” lub wcale nie jedzono. W drugi dzień świąt potrawy były takie, jak w pierwszy. Odwiedzano się i goszczono nawzajem⁵¹.

⁴⁸ Wyw. 23/01, inf. J.L. Inf. A.R. mówi, iż z opowiadań babki męża wie, że „dawniej nie było choinki”. W rogu izby przy stole stawiano snopek z różnych zbóż, ozdobiony jemiolą. Choinki były podobno u niemieckich kolonistów (Inf. A.R., wyw. 18/01).

⁴⁹ Wyw. 23/01, inf. J.L. Inf. A.R. powołując się na opowiadania babki męża, twierdzi, że w wigilię już nie pracowano; robiono tylko „obrzędki gospodarskie”. Dziadek męża, który jeździł koniem „na roboty magistrackie” w wigilię już nie pracował (Wyw. 17/01, inf. A.R.).

⁵⁰ Wyw. 23/01, inf. J.L.

⁵¹ Wyw. 23/01, inf. J.L. Inf. A.R. Mówi, że w pierwszy dzień zapraszano gości z najbliższej rodziny, na drugi dzień „szli sami w gości”. W drugi dzień świąt na św. Szczepana, jak opowiadała babka męża, u Matki Boskiej Loretańskiej sypano z chóru na ludzi owies „żeby się zboże rodziło” (wyw. 17/01). Następnego dnia 27 grudnia (św. Jana) chodzono do kościoła wcześniej rano, bo była

Od pierwszego dnia świąt wieczorami chodzili po Gocławiu kołędnicy. Były to grupki 5–6 miejscowych chłopców w wieku od 8 do 16 lat. Śpiewali przeważnie pod oknami domów popularne koledy: *Wśród nocnej ciszy*, *Bóg się rodzi*. Kołędnicy chodzili tylko do domów katolickich, choć żadnych zakazów w tym względzie nie było; przyjęło się to tak „samo z siebie”. Dawano im zazwyczaj „po parę groszy”. Grup kołędników było dużo – „jedni wychodzili, drudzy wchodzili”⁵².

W tym samym czasie zaczynał chodzić do domach Gocławia zespół „Herodów”. Byli to starsi chłopcy „po wojsku”, a niekiedy i żonaci mężczyźni. Grupa Herodów też była miejscowa – „przez cały Adwent się szykowali, przygotowywali stroje, przebrania”. Do domu, w którym mieli wystąpić, najpierw wchodził „marszałek” i pytał czy mieszkańcy chcą zobaczyć „Króla Heroda” i dopiero po zaproszeniu zespół wchodził do izby. Czasem „aktorów” było kilkunastu (król Herod, marszałek, Żyd, anioł, diabeł, śmierć). Wchodzili, prosili krzesło dla „króla Heroda” i zaczynali przedstawienie. Po zakończeniu dawano im pieniądze, a jeśli byli znajomi, to i „po kielichu”. Jeśli gdzieś w tym czasie była zabawa, to niekiedy zostawali potaćzyć. Zazwyczaj chodzili tylko po Gocławiu, ale kiedyś wybrali się na Targówek i tam wdali się w bójkę z miejscowymi, którzy szli naprzeciw⁵³.

W ostatni dzień roku, w Sylwestra, odprawiano o godz. 6 po południu mszę świętą, na którą szła większość katolickich mieszkańców Gocławia. Chociaż parafia od 1938 roku była na Saskiej Kępie, do kościoła chodzono przeważnie na plac Szembeka albo do kaplicy albertynów, gdzie było centralne ogrzewanie. Na Gocławiu w noc sylwestrową urządzano zabawy w tych domach, gdzie było więcej miejsca. Zabierano ze sobą „po butelce” (1/2 litra) wódki, kobiety robiły jakieś zakąski – trochę mięsa, wędliny, salceson, przynoszono „coś ze świąt”, jeśli zostało. Bawiono się przy gramofonie lub patefonie, przeważnie w kilka osób, najczęściej w gronie sąsiadów. Zabawy trwały całą noc – do rana. Większe zabawy odbywały się tam, gdzie były największe mieszkania, np. u Ranców, gdzie pokój miał ok. 25 m², u Dembińskich. Zabaw sylwestrowych nie organizowano w grupach wiekowych – „razem to było”. Czasem tylko zbierali się osobno starsi, „coś wypili, pogadali, bez tańców i muzyki”. Na sylwestrowe zabawy ubierano się w niedzielne ubranie, nie strojono się specjalnie – były to raczej potańcówki niż huczne zabawy.

W Nowy Rok większość mieszkańców chodziła do kościoła. Ci, co byli na jakichś zabawach, szli na późniejsze msze, przeważnie na sumę o godz. 11. Msza noworoczna była z kazaniem okolicznościowym i życzeniami dla parafian.

komunia św. pod dwoma postaciami (wyw. 18/01 inf. A.R.). Żadnego z tych zwyczajów nie zna inf. J.L. Opowiada on natomiast, że w Zerzeniu na Boże Narodzenie (być może na pasterkę) parafianie przynosili kaczkę, gęsi i inny drób i stawiali przed szopką (wyw. 15/01, inf. J.L.).

⁵² Wyw. 6,7/00; 25/01, inf. J.L. Gocławscy kołędnicy nie nosili ze sobą żadnych akcesoriów (gwiazdy, szopki). Chodzenie z szopką informator zna dobrze z sąsiednich dzielnic, ale twierdzi, że „na Gocławiu się to nie przyjęło”. Zwyczaje związane z przygotowaniem szopki i chodzeniem z nią po koledzie na Nowej Pradze w latach trzydziestych opisał dość szczegółowo w swoich wspomnieniach Zdzisław Kaliciński (1983, s. 200–201).

⁵³ Wyw. 6/00, inf. J.L. O „Herodach” i kołędnicach wspomina też A.R., wyw. 17,18/01.

Robiono lepszy obiad, zapraszano gości, niekiedy tych, których nie było w święta. Czasem zapraszano na wieczór „po obrzędach”. Obiad noworoczny był podobny do świątecznego – coś w rodzaju przedłużenia świąt. Życzenia składano sobie w Sylwestra lub w Nowy Rok (jeśli widziano się w oba dni, to niekiedy i jednego, i drugiego dnia).

W Trzech Króli „szło się koniecznie do kościoła”, kupowano i święcono kadzidło i krede. Po powrocie do domu pisało się na drzwiach litery K+M+B, ale nie było zwyczaju okadzania mieszkania kadzidłem. Do Trzech Króli stały po domach choinki. Starano się o przygotowanie tego dnia „lepszego obiadu”; zdarzało się nawet, że pożyczano na ten cel trochę pieniędzy od krewnych czy sąsiadów. „Wymiatano” też wówczas wszystkie świąteczne pozostałości i zapasy⁵⁴.

Od Nowego Roku do Popielca trwał karnawał; nazwa „zapusty” nie była używana. U tych, co mieli większe mieszkanie, odbywały się w soboty i niedziele potańcówki przy gramofonie. Nie były to jednak zabawy z jedzeniem i piciem. „No, czasami ta starsza kawalerka, to sobie pół litra przynieśli. A tak, to były tylko potańcówki”. Dopiero przy okazji ostatków „szykowali coś”, smażyono faworki, podobnie jak w Tłusty Czwartek. „Jak było, tak było, biednie, to biednie, ale szczerze było – gościli się, nie omijali się, syn ojca, ojciec syna, nie tak jak dzisiaj. Wszyscy się znali, wszyscy się schodzili czy na święta, czy na takie o... imprezy”. W czasie karnawału potańczyć można było w każdej restauracji, bo wszędzie była orkiestra, która grała albo codziennie, albo parę dni w tygodniu. Była np. taka restauracja na rogu Żymirskiego i Grochowskiej, na placu Szembeka (Boguckiego „Pod Olszynką”)⁵⁵.

Przed połową karnawału, 2 lutego, było święto Matki Boskiej Gromnicznej. Był to wprawdzie normalny dzień pracy, ale kobiety nie pozwalały, żeby ktoś np. tego dnia rąbał drzewo; z każdego domu ktoś szedł do kościoła, aby poświęcić gromnicę (świeca mogła być z poprzedniego roku)⁵⁶.

W Tłusty Czwartek smażyono pączki i faworki, rzadziej racuchy. Zapraszano się na nie nawzajem – był to dzień odwiedzin. Pączki czy faworki bardzo rzadko kupowano (zdarzało się to tylko pracującym „gdzieś w mieście”). Najczęściej robiono je po domach („gospodynie były takie, że robiły wszystko, żeby tylko było z czego”). Niekiedy przy pączkach, faworkach, jeśli byli w domu goście „wypili po kielichu, pogadali”. Zdarzało się, że tego dnia posmarowano kłamki u drzwi tłuszczem, w szkołach smarowano tablice⁵⁷.

W „ostatki” chodziły po domach na Gołąwii grupy przebierańców. Były to przeważnie dzieci („małe chłopaki”), poprzebierane za Żydów, Cyganów. Przebrania te były bardzo nieskomplikowane, dzieciaki posmarowały się sadzą,

⁵⁴ Wyw. 6/00, inf. J.L.

⁵⁵ Wyw. 3, 4/01, inf. J.L. J. Kasprzycki wymienia tych restauracji na Grochowskiej przynajmniej kilka, ale w latach kryzysu gołąwianie chodzili do nich bardzo rzadko.

⁵⁶ Starano się – mówi inf. J.L. – „żeby ta gromnica była w każdym domu”. Niekiedy odwiedzano się w tym dniu, ale nie było żadnych świątecznych obiadów ani innych uroczystości. Z dniem tym wiązały się przepowiednie pogody; wyw. 6/00; 2/01.

⁵⁷ Wyw. 2, 3, 4/01, inf. J.L.

szminką, ubierały się w starą odzież, znalezione na strychu kapelusze. Często dawano im po domach pączkami, faworkami, ale przeważnie dawano po parę groszy⁵⁸.

Czterdziestodniowy okres Wielkiego Postu rozpoczynała Środka Popielcowa. Tego dnia wieczorem większość goślavian szła do kościoła, gdzie po mszy św. ksiądz posypywał wiernym głowy popiołem, a dla nieobecnych na mszy sypał popiół do książeczek do nabożeństwa. Postu bardzo ściśle przestrzegano, zwłaszcza wśród osób starszego pokolenia. W środy i piątki nie jedzono mięsa i tłuszczu zwierzęcego, gotowano przeważnie potrawy na mleku⁵⁹, w piątek zaś jedzono śledzie „jak były pieniądze”. Mniej skrupulatnie wystrzegano się picia alkoholu, ale i tak pito go mało, „bo była bieda, a alkohol był drogi”, zwłaszcza piwo. Bardzo pilnowano, aby w tym okresie nie było zabaw. Śluby i chrzty odkładano do świąt, „chyba że dziecko było chore”. Imieniny urządzano, ale bez tańców⁶⁰, tylko na św. Józefa „bywało wesoło”, bo mówiono, „że tego dnia nie ma postu” i uważano, że nawet śluby są wówczas dozwolone⁶¹. Łoskot rozbijanych garnków z popiołem przypominał goślavianom, że połowa postu już minęła⁶².

Zwiazaniem Wielkiego Tygodnia była Palmowa Niedziela, w którą prawie wszyscy mieszkańcy Goślawia szli do kościoła, niosąc do poświęcenia palemki własnej roboty z gałązek wierzby. Starano się też w następnych dniach kupić choćby jakieś drobiazgi z odzieży (np. chustkę, skarpety), aby mieć na Wielkanoc coś nowego⁶³.

W Wielkim Tygodniu rytm czasu i rozkład zajęć na Goślawiu podporządkowane były przygotowaniom do zbliżających się świąt. W domach i na podwórkach robiono generalne porządki, przygotowywano świąteczne potrawy i wypieki, malowano jajka, ale pisanek już nie robiono⁶⁴. Od Wielkiego Czwartku zaczynały się nabożeństwa o Męce Pańskiej, w kościołach milkły dzwony. W Wielki Piątek chodzono „na groby”, przede wszystkim do kościołów w okolicy: na Kamionku, na placu Szembeka, do kaplicy albertynów, tylko nieliczni jeździli do śródmieścia, do kościoła św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży i do kościołów na Krakowskim Przedmieściu. Wracano stamtąd do domu niekiedy późnym wieczorem, a później jeszcze długo dzielono się wrażeniami⁶⁵.

⁵⁸ Wyw. 2, 4/01, inf. J.L. Znacznie bogatszą oprawę miały ostatki na Nowej Pradze, opisywane przez Z. Kalicińskiego. Tam przebierali się kilkunastoletni chłopcy, którzy sporo wcześniej i znacznie staranniej niż na Goślawiu przygotowywali się do tego dnia (Kaliciński 1983, s. 201–202).

⁵⁹ Niegdyś nawet garnki szorowano piaskiem, aby nie było w nich śladu tłuszczu (wyw. 18/01, inf. A.R.).

⁶⁰ Wyw. 2/01, 3/01, inf. J.L., wyw. 18/01, inf. A.R.

⁶¹ Wyw. 3/01, inf. J.L.

⁶² Wyw. 3/01, inf. J.L. Młodzież męska malowała tego dnia wapnem lub farbą okna w domach panien, które nie wydały się za mąż w karnawale, a na ścianach domów umieszczano niekiedy złośliwe napisy.

⁶³ Wyw. 18/01, inf. A.R.

⁶⁴ Pisanek robiono na Goślawiu przed I wojną. Później jajka gotowano tylko w wywarze z cebuli lub w roztworze z grafitu tzw. „tuszowych ołówków” (z opowiadań babki męża inf. A.R., urodzonej w końcu XIX w. – wyw. 19/01).

⁶⁵ Wyw. 3/01, inf. J.L.; wyw. 18/01, inf. A.R.

W Wielki Piątek i Wielką Sobotę po domach Gocławia odbywało się gruntowne przedświąteczne mycie i robiono ostatnie porządki. W Wielką Sobotę, kiedy przyjeżdżał ksiądz, aby na miejscu poświęcić pokarmy, „wszystko było wysprzątane, porządek taki w podwórkach, jak nie było przez cały rok”, opowiada J.L.⁶⁶

W Niedzielę Wielkanocną na rezurekcję szła przytłaczająca większość mieszkańców Gocławia, a J.L. mówi, że chodzili na nią „nawet najzagorzalsi grzesznicy – szedł taki, co zapomniał jak ksiądz wygląda”. Chodzono przeważnie do najbliższego kościoła, na plac Szembeka. Podczas rezurekcji strzelanina z kalichloru, kluczy itp. była ogłuszająca i co roku zdarzało się wiele wypadków. Po powrocie stół był już nakryty, bo zawsze ktoś jednak w domu zostawał⁶⁷, siadano więc do świątecznego śniadania. Przed śniadaniem dzielono się jajkiem i składano sobie życzenia. Jedzono wędzone „swojskie” kiełbasy, bywała szynka z kością, żurek z białą kiełbasą, później ciasto, herbata, kawa z mlekiem. Podczas śniadania śpiewano czasem pieśni – *Chrystus zmartwychwstan jest, Wesoly nam dzień dziś nastał*. Przy śniadaniu siedziano długo, z krótkimi przerwami, prawie do obiadu. Na obiad bywał często rosół z makaronem, schab lub duszona wołowina z kartoflami i buraczkami, na deser herbata z ciastem. Po obiedzie chodzono przeważnie na przechadzkę nad jezioro, na wał, na pola i łąki, czasem w gości do bliskich krewnych. Rzadko jedzono kolację. W drugi dzień świąt szło się do kościoła, „ale zdarzało się, że ktoś nie poszedł”. Nadal biesiadowano przy zastawionym stole. Obiad był taki jak w pierwszy dzień. Począwszy od niedzielnego śniadania, wszystkie świąteczne potrawy obficie zapijano alkoholem, „a dopiero we wtorek to leczenie kaca było”. W drugi dzień świąt odwiedzano i goszczono się nawzajem. Tego dnia „lali się okropnie wodą, każdy mokry chodził”. W tym powszechnym oblewaniu się wodą, zwanym śmigusem, brała jednak udział przede wszystkim młodzież. Polewano się najczęściej z butelek, ale chłopcy, którzy polowali na dziewczęta z kubłami wody, wchodzili niekiedy na drzewa i dachy budynków. W oba dni Wielkanocy, jeśli była pogoda, między posiłkami chodzono na długie przechadzki; „wtedy mniej wódki pili”. Biesiadowano też przed domami. Po świątach, jeśli utrzymywała się ciepła pogoda, coraz więcej czasu wolnego spędzano już na powietrzu⁶⁸.

Pierwszego maja kapliczkę na Gocławiu, przy zbiegu ulic Żymirskiego i MIMOŚRODOWEJ, strojono kwiatami i zielenią. Zaczynał się okres nabożeństw majowych i czerwcowych. Nikt z mieszkańców nie brał natomiast udziału w pierwszomajowych manifestacjach. Tylko paru ciekawskich jeździło czasem na Plac Teatralny popatrzeć na odbywające się tam burzliwe demonstracje i interwencje policji. Trzeciego Maja świętowano, bo było to jednocześnie święto państwowe i kościelne Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski. Chodzono tego dnia do kościoła, niekiedy zebrało się paru mężczyzn, aby porozmawiać gdzieś na trawie i niejako dla podkreślenia wagi święta „wypić po lufce”

⁶⁶ Wyw. 3/01; 25/01, inf. J.L.; wyw. 17/01, inf. A.R.

⁶⁷ Na przykład młode dziewczyny, które chodziły do kościoła na godz. 11, kiedy wspaniale śpiewał chór i można było spotkać się z chłopakami, wyw. 25/01, inf. J.L.

⁶⁸ Wyw. 25/01, inf. J.L.; 19/01, inf. A.R.

(tj. po kieliszku). Wywieszano, podobnie jak 11 listopada, flagi na domach, czego zresztą pilnowała policja⁶⁹.

Zielone Świątki (Zesłanie Ducha Świętego) świętowano dwa dni i znacznie uroczyściej niż obecnie. Jak wspomina J.L. – „Było to prawdziwe zielone święto, bo każdy dom w zieleni tonął [...] każde mieszkanie umajone tatarakiem, kasztanem, gałęziami z wiązu, topoli. Jeziora były w okolicy, tataraku nie brakowało”. Tatarakiem majono obrazy nad komodą, gałęziami – dom. Zawsze pieczono jakieś ciasto, był lepszy obiad, więcej mięsa, bo w te dni bywali goście. Jak zostało mięsa, to robili kanapki do wódki”. Do kościoła chodzono w oba dni, ale niektórzy szli tylko pierwszego dnia; nie traktowano tego rygorystycznie, bo był to czas robót gospodarskich, zwłaszcza przy sianie i przy pieleniu kartofli i buraków. Bardziej świątecznie traktowali te dni ci, którzy nie mieli gospodarstw: „jedni za wałem w karty grali”, inni szli nad jezioro⁷⁰.

Święto Bożego Ciała nie było na Gocławiu obchodzone dużo uroczyściej niż zwykła niedziela, ale na procesję, tak jak na rezurekcję, szli prawie wszyscy, nawet ci, co do kościoła zazwyczaj nie chodzili. Parafialna procesja z kościoła na Kamionku szła przed południem na Krakowskie Przedmieście, gdzie odbywały się główne uroczystości, z udziałem wojska, ale chodzono też na procesje do innych kościołów; do kaplicy albertynów przy Grochowskiej, na plac Szembeka, gdzie procesja była po południu. Ci z gocławian, którzy mieli krewnych na Pradze, jeśli zaproszono ich w gości, szli na procesję do św. Floriana. Powszechnego zwyczaju zapraszania gości na Boże Ciała jednak nie było. Tuż przed samą wojną chodzono też na procesję na Saską Kępę, gdzie powstała nowa parafia, do której należał Gocław⁷¹.

Na Gocławiu mawiano, że „dopóki św. Jan wody nie ochrzczi”, nie należy kapać się w rzekach i jeziorach. Wigilia św. Jana (23 czerwca) była na Gocławiu, a zwłaszcza na sąsiedniej Saskiej Kępie, dniem wesołych zabaw. W noc świętojańską w klubach sportowych na Saskiej Kępie grały orkiestry, odbywały się bale, tańczono również na rzęsiście oświetlonych statkach spacerowych na Wiśle. Nad Wisłę szli również mieszkańcy Gocławia. Jeśli wigilia św. Jana wypadła w dzień powszedni, po powrocie z pracy przebierano się i przed wieczorem chodzono nad Wisłę „na wianki”. Wianki puszczała na wodę młodzież, starsi przychodzili popatrzeć, posiedzieć na wale, „flaszkę wzięli”. Młodzi bawili się wesoło przy dźwiękach licznych orkiestr, spacerowali po jasno oświetlonym bulwarze na Saskiej Kępie. Później gdzieś na łąkach rozpalano niekiedy ognisko – „chłopaki przynieśli trochę gorzałki, dziewczyny zakąski”. Bawiono się do późna, a potem „szli w kopki siana”⁷².

⁶⁹ Wyw. 1/01; 3/01, inf. J.L.; 13/01, inf. H.W. Gocławianie brali licznie udział w nabożeństwach majowych i czerwcowych przy miejscowej kapliczce, ale chodzili też na nie do kościoła na pl. Szembeka.

⁷⁰ Jeśli święta wypadły późno i było bardzo ciepło, niektórzy kąpali się nawet; wyw. 5/01, inf. J.L.; 13/01, inf., H.W.

⁷¹ Wyw. 3/01, inf. J.L.; wyw. 13/01, inf. H.W.

⁷² Wyw. 5/01. inf. J.L.

Święto Matki Boskiej Zielnej (Wniebowzięcia NMP – 15 sierpnia) w okresie międzywojennym należało na Gocławiu do najważniejszych w kalendarzu świąt dorocznych. W dzień ten powszechny był zwyczaj święcenia małych wianuszków z kwiatów i ziół. Jak mówi inf. H.W. święto to obchodzono wówczas znacznie uroczyściej niż obecnie⁷³.

Kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, w odległym o około 5 km od Gocławia Zerzeniu przy Trakcie Lubelskim, jest jednym z najstarszych kościołów parafialnych Równiny Praskiej. Pierwszy drewniany kościół został wzniesiony już w roku 1403, a w trzy lata później biskup poznański Wojciech Jastrzębiec erygował w Zerzeniu parafię (Wierzchowski 1999, s. 17). Odbywające się tu 15 sierpnia odpusty od dawna przyciągały „ludzi z całej okolicy”⁷⁴.

Przed odpustem, nie tylko w Zerzeniu, ale i w całej okolicy, odnawiano chałupy, reperowano płoty, porządkowano obejścia, bo spodziewano się gości. Po mszy świętej, na której poświęcono wianki, mieszkańcy Zerzenia zapraszali do siebie krewnych z bliższej i dalszej okolicy, przybyłych na odpust. Nie obywało się oczywiście bez wypitki, a świecka strona odpustu niejednokrotnie przeważała nad religijną. Niektórzy z odpustowych gości nawet nie wchodzili do kościoła. Do atrakcji odpustu należały sprzedawane tam wędliny z Karczewa (zwłaszcza kaszanka na gorąco), ciastka „gryczaki”. Atrakcją dla dzieci i młodzieży była karuzela. Na loterii fantowej można było wygrać owce, prosiaki, gołębie. Było wiele kramów, w których można było „wszystko kupić”: zabawki dla dzieci, pierniki, słodocze, dewocjonalia⁷⁵. W czasie powrotów do domów słychać było odgłosy różnych trąbek, piszczałek i gwizdków – „wszystko piszczało”.

Na odpust do Zerzenia chodziło wiele osób z Gocławia, przeważnie młodzież, a starsi, jeśli mieli tam krewnych lub znajomych. „Jak ktoś miał tam rodzinę, to bywał zapraszany na obiad, a później szło się na dechy” – mówi J.L. Większość dziewcząt i chłopców w wieku szkolnym biegała na odpust sama; rodzice nie chcieli z nimi chodzić, bo „naciągali na różne zakupy”. Sami „szykowali się na wędliny z Karczewa i butelkę” (tj. pół litra). Bywało jednak, że w wypitce przebrano miarkę, niekiedy między podpitymi dochodziło do bójek. Po południu zaczynała się zabawa taneczna, opłacana „z kawałka” (tj. od tańca). Orkiestra była zawsze bardzo dobra, o co dbał komitet organizacyjny odpustu. Jeśli nie padało⁷⁶, bawiono się do późna w nocy⁷⁷.

Największymi świętami okresu jesiennego były uroczystości Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny. Przed Zaduszkami dawano za dusze zmarłych na mszę św. i tzw. „wypominki”, ale z powodu panującej biedy było to znacznie

⁷³ Wyw. nr 13/01, inf. H.W.

⁷⁴ Wyw. nr 20/01, inf. A.R.

⁷⁵ Było również wielu ludzi handlujących „z ręki” – „poobwieszali się tymi koralami”, mówi informator J.L.

⁷⁶ Ze świętem MB Zielnej związane było przekonanie, że tego dnia lub w dni następne musi padać.

⁷⁷ Wyw. nr nr 13/00; 5–6/01; 15/01, inf. J.L.

mniej powszechne niż obecnie⁷⁸. W czasie świąt odwiedzano groby, ozdabiano je przeważnie gałązkami choiny, gdyż były tanie, rzadko natomiast stawiano świeczki, lampki i kwiaty. Na Bródno, choć było to daleko, chodzono przeważnie na piechotę, „na skróty”, przez ulicę Podskarbińską i Utratę. Odwiedziny cmentarza były okazją do spotkań z krewnymi i znajomymi, o których później opowiadano domownikom⁷⁹.

Mało rozpowszechnione były na Gocławiu wróżby w wigilię św. Andrzeja, tzw. andrzejki (29 XI). „Czasem dziewczyny lały wosk po kątach, ale rzadko”, wspomina J.L. Nie zachowały się w pamięci informatorów wspomnienia o poprzedzających Adwent zabawach na św. Cecylię.

IV

Badania nad międzywojennym Gocławiem rozpocząłem w 1998 roku, kiedy proces wchłaniania tego przedmieścia przez zakłady przemysłowe, osiedla mieszkaniowe i arterie komunikacyjne był już bardzo zaawansowany. Pozostało parę uliczek, kilkanaście starych domków i kilka osób, które dawny Gocław pamiętały. Co roku burzono stare domy i odchodzili najstarsi mieszkańcy tego kwartału. Badania prowadzone na sąsiednim Grochowie i Witolinie przyniosły wprawdzie także sporo interesujących materiałów, ale tylko niewielka ich część dotyczyła Gocławia. Był to zresztą jego obraz zapamiętany przez ludzi, którzy tę dzielnicę znali tylko od zewnątrz, z wysokości Wału Gocławskiego, po którym odbywali niegdyś niedzielne spacerki.

Pamięć moich gocławskich rozmówców nie sięgała już głębiej niż do przełomu lat 20-tych i 30-tych. Nieco wcześniejszy okres pamiętali niektórzy informatorzy z Grochowa. Trochę wiadomości odnoszących się do całego dwudziestolecia międzywojennego zawiera literatura, dotycząca przeważnie Pragi, Grochowa i bardzo rzadko Gocławia. Materiały, na których opiera się artykuł, odnoszą się zatem przede wszystkim do lat wielkiego kryzysu. Dotyczą niemal wyłącznie katolickiej części gocławskiej społeczności.

Kwestią czasu wolnego robotników warszawskich w tym okresie zajmowano się rzadko. Skutkiem bezrobocia w sferze kulturalnej życia robotników, wspominając również o problemie czasu wolnego, poświęcił parę stron Władysław Mierzecki w swoim studium o robotnikach Warszawskiego Okręgu Przemysłowego w dwudziestolecie międzywojennym (1989, s. 152–154). Jego zdaniem wydatki na kulturę w rodzinach bezrobotnych zredukowano niemal do zera, co oznaczało rezygnację „z wszelkich płatnych rozrywek”. Nawet sam termin „czas wolny” uważa autor za nieadekwatny w sytuacji, kiedy „właśnie brak zajęcia był najbardziej dolegliwy dla bezrobotnego”. W. Mierzecki jest więc skłonny mówić

⁷⁸ Często natomiast dawano parę groszy za modlitwy w intencji zmarłych cmentarnym żebrakom, których wielu siedziało pod bramami cmentarza. Pisze o nich w swoich wspomnieniach J. Świdrowski (1980, s. 26).

⁷⁹ Wyw. 6/01, inf. J.L.

tu raczej o „czasie zbędnym” (1989, s. 152–153). Skutkiem bezrobocia – pisze, powołując się na badania M. Balsingerowej – była powszechna wśród bezrobotnych Warszawy początku lat 30-tych postawa apatii i zniechęcenia (Mierzecki 1989, s. 147; Balsingerowa 1932, s. 42).

Wprawdzie materiały wykorzystane w artykule nie pozwalają na daleko idące wnioski, ale wydaje się, że w latach kryzysu stosunek mieszkańców Gocławia do otaczającej ich rzeczywistości wyraźnie odbiegał od tej postawy apatii i zniechęcenia, którą M. Balsingerowa uważała za dominującą wśród bezrobotnych Warszawy. Na przykład wydatki na rozrywki i świętowanie, choć w latach największego bezrobocia były mocno ograniczone, nigdy nie zostały „zredukowane do zera”. Wydaje się również, iż mimo bardzo wysokiego bezrobocia, na Gocławiu miało ono nieco odmienny charakter niż w innych robotniczych dzielnicach Warszawy. Jak wcześniej wspomniałem, istniały znaczne możliwości zatrudnienia na robotach publicznych na samym Gocławiu, a przede wszystkim na Saskiej Kępie. Duże zapotrzebowanie na robotników niewykwalifikowanych stwarzały okresowo roboty odwadniające, prowadzone przez Spółkę Wodną Obwodu Wawerskiego. Znaczną ilość siły roboczej wchłaniało rozwinięte w tamtych latach na dużą skalę indywidualne budownictwo mieszkaniowe na obrzeżach Gocławia i Grochowa. Na kupowanych od miejscowych rolników niewielkich działkach w latach kryzysu, kiedy tanie były zarówno materiały budowlane, jak i siła robocza, wyrastały jak grzyby po deszczu setki niewielkich i przeważnie tandetnych domków wznoszonych przez kolejarzy, tramwajarzy i innych, nieco lepiej zarabiających pracowników komunalnych i państwowych⁸⁰. Znacznie solidniej i bardziej estetycznie budowała się Saska Kępa i Nowy Gocław. Latem, w okresie pilnych robót polowych, istniały również możliwości pracy na samym Gocławiu, w gospodarstwach niemieckich kolonistów. Większość gocławian miała też w przypadku bezrobocia pewne zabezpieczenie w postaci własnego domu lub jego części i niewielkiego gospodarstwa czy choćby paru zagonów pod uprawę kartofli i kapusty, a także krowę, parę świń, trochę drobiu, niekiedy nawet konia.

Gocław, który w tamtych latach nadal miał jeszcze wiele cech tradycyjnej społeczności lokalnej, zachował też charakterystyczny dla takich społeczności system więzi i zabezpieczeń społecznych, krewniaczych i sąsiedzkich, dających jednostce i rodzinie poczucie bezpieczeństwa w sytuacjach kryzysowych. Kulturowane przez gocławian zwyczajnie doroczne i rodzinne oraz niektóre ze sposobów spędzania czasu wolnego podtrzymywały i umacniały ten system więzi i konsolidowały społeczność Gocławia. Niewątpliwie jednak kryzys i bieda hamowały niektóre jego tendencje rozwojowe i opóźniały urbanizacyjne przemiany. Bieda, ale zapewne i tkwiące w tradycji czynniki psychologiczne powodowały, że na Gocławiu wykształcenie kończyło się na szkole powszechnej, której ukoń-

⁸⁰ Domki budowali zresztą nie tylko ci najlepiej zarabiający. Niektóre z nich wznosili z pochodzących z rozbiórki materiałów budowlanych ludzie bardzo niezamożni, rękami własnymi i krewnych. Piszą o tym H. Boguszewska i J. Kornacki w *Zielonym lecie 1934*.

czenie traktowane było jako sukces; brak było zainteresowania działalnością instytucji oświatowych i samokształceniowych. Z brakiem zainteresowania spotykała się też działalność kulturalna Towarzystwa Przyjaciół Grochowa i innych grochowskich stowarzyszeń i organizacji społecznych. Ta postawa rezerwy wobec instytucji społecznych i tego, co one oferują, była wówczas wśród bezrobotnych zjawiskiem dosyć powszechnym (Mierzecki 1989, s.152). Brak zaufania do propozycji pochodzących ze środowisk inteligenckich i mieszczańskich Grochowa, z których wywodzili się tamtejsi najaktywniejsi działacze społeczni, wynikał, jak się wydaje, m.in. z poczucia pewnej obcości goślawian w stosunku do tych środowisk. R.M. z Kamionka (ur. 1931) – sam doktor geologii – wspomina, że wśród ludzi z pokolenia jego rodziców, a zwłaszcza dziadków (rodzina dobrze sytuowanych robotników wykwalifikowanych) funkcjonowało protekcyjne, jeśli nawet nie trochę lekceważące, określenie człowieka pochodzącego ze wsi – „czerstwiak”⁸¹.

Trudno określić, jak powszechne były wówczas tego rodzaju postawy, ale nie ulega wątpliwości, że one również stanowiły jedną z przeszkód utrudniających goślawianom akceptację pewnych treści wielkomiejskiej kultury i niektórych oferowanych przez miasto rozrywek. Popularność odpustu w Zerzeniu, utrzymywanie się na Gośławiu aż do lat 50-ych zwyczaju tzw. kawalerki wraz z jego przedwojenną „geografią” miejscowości, do których chodzono, ożenki z pannami z okolicznych wsi, rozliczne kontakty rodzinne i towarzyskie z nimi świadczą, że społeczność tego przedmieścia, której dotychczasowe zasady bytowania uległy zachwianiu, szukała wsparcia własnego systemu wartości w częstych kontaktach z bliskim jej kulturowo światem podmiejskich wsi.

LITERATURA

- Balsingerowa M. 1932, *Spoleczne skutki bezrobocia wśród pracowników fizycznych Warszawy*, Warszawa.
- Boguszewska H., J. Kornacki 1959, *Zielone lato 1934*, Warszawa.
- Bystroń J.S. 1977, *Warszawa*, Warszawa.
- Drozdowski M.M. 1977, Nieznane karty z dziejów Saskiej Kępy, *Stolica*, R. 32, nr 29, s. 4.
- Elsztein P. 2002, *Moja Praga. Z archiwum wspomnień*, Warszawa.
- Faryna-Paszkiewicz H. 2001, *Saska Kępa*, Warszawa.
- Garwacki J. 1983, *Na Czerniakowie i Powiślu*, Warszawa.
- Harusewicz M. 1933, Opis 17-go okręgu (Grochowa) m. st. Warszawy pod względem sanitarnym, odb. *Zdrowie*, nr 1-6, Warszawa.
- Kaliciński Z. 1983, *O Starówce, Pradze i ciepokach*, Warszawa.
- Kasprzycki J. 1993, Kroki Witolina do miasta, *Życie Warszawy*, z dn. 10-12.IV, s. 12.
– 1998, *Korzenie miasta. Warszawskie pożegnania*, tom III – Praga, Warszawa.
– 2000, *Facjatki na czynsz*, *Życie Warszawy*, z dn. 4-5. III, s. 12.
- Krasiński E. 1976, *Warszawskie sceny 1918-1939*, Warszawa.
- Mierzecki W. 1989, „Przyjmę jakąkolwiek pracę”. *Bezrobotni robotnicy Warszawskiego Okręgu Przemysłowego w latach II Rzeczypospolitej*, Warszawa.

⁸¹ Wyw. 10/98, inf. R.M.

- Nowakowski A. 1973, *Światło dla Warszawy. Wspomnienia*, Warszawa.
- Poliński J. 1938, *Grochów – przedmurze Warszawy w dawniejszej i niedawnej przeszłości*, Warszawa.
- Świdrowski J. 1980, *Moja droga w świat. Wspomnienia 1906–1939*, Warszawa.
- Wierchowski H. 1999, *Zerzeń i jego historia*, Warszawa.
- Woźniak A. 2002, Na peryferiach Grochowa. Z badań nad życiem codziennym Goćławia w okresie międzywojennym, *Kwartalnik Historii Kultury Materialnej*, t. 50, nr 2, s.155–182.
- Wrzos K. 1985, *Oko w oko z kryzysem. Reportaż z podróży po Polsce*, Warszawa.

ANDRZEJ WOŹNIAK

SUBURBAN GAMES AND ENTERTAINMENT.
LEISURE TIME, HOLIDAYS AND CEREMONIES IN THE COMMUNITY
OF GOĆLAW IN 1918–1939

Summary

Goćław belongs to the district of Warsaw called Grochów, on the right side of the Vistula river. In the years 1918–1939 Grochów was a large and quickly developing district, whereas Goćław was its least urbanized part, resembling the neighbouring villages more than the urban areas.

The society inhabiting Goćław was diversified in many respects: ethnic, religious, professional. Those who were better off had German ancestry, were Lutherans of the Augsburg Confession and lived mainly on farming. The Roman Catholic Poles owned very small farms. They were in different trades, did odd jobs. In the 1930ies., due to economic crisis, great part of them were unemployed and suffered great poverty. Some were employed in public works or were on dole. For most families their own houses and small plots of land provided some kind of security in case of unemployment.

People inhabiting the suburb of Goćław in the years 1918–39 lived in a community resembling, to a considerable degree, a local community of the traditional type. They had preserved social ties characteristic for such kind of community – kinship and neighbourly ties which gave sense of security to individuals and families in case of crisis. That system of social bonds and sense of solidarity were supported and reinforced by common celebrating of rituals of annual cycle and life cycle as well as particular forms of entertainment. On the other hand it was the economic crisis of the 1930s and poverty that contributed to setting back the urbanization and development of the suburban district. Poverty made it difficult for the residents to enjoy all kinds of entertainment offered by the city life. The previous way of life of the suburban community got unsettled. Frequent contacts with neighbouring villages, culturally similar, confirmed and supported their value system.

Translated by Anna Kuczyńska